

# DZIS i JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOLECZNY

Rok IV

Warszawa, 6 czerwca 1948 r.

Nr 23 (132)

**TREŚĆ NUMERU:** P. Jasienica — Rozmyślanie nad przyslaną książką, B. Kamiński — Podróż przez miasto, Naszel, R. Reiff — Mijają rocznice walk partyzanckich, K. Winkler-Augustowski — Wiersze S. Skorupka — Nowy przekład Pisma Świętego. Z ubocza. Wystawa grupy „Warszawa”. W. Pietrzak — Lot Jaskótek. Czytelnik uważa, że... Nabyć, czytać, nie czytać...

Wojciech Kętrzyński

### KONSEKWENCJE ENCYKLIK SPOLECZNYCH

Pięćdziesiąta siódma rocznica ogłoszenia pierwszej z Wielkich Encyklik Społecznych — „Rerum Novarum” minęła w prasie katolickiej pod znakiem rzetelnej analizy społecznego dorobku katolicyzmu. Wi docznie wzmogło się uczucie, że dość już panegiryków, wywyższających tylko fakt, że lat temu przeszło pięćdziesiąt Kościół przez usta swych Papieży te prawdy sformułował, jeśli się nie daje jednocześnie bilansu osiągnięć tych pokoleń katolików, którym te prawdy zostały do wiadomości podane.

Głosy prasy katolickiej tchną realizmem i obiektywizmem. Zdają sobie sprawę i nie ukrywają tego przed czytelnikiem, że dzisiejsze osiągnięcia społeczne świata katolickiego są jeszcze dalekie od tych odważnych i świątliwych postulatów, jakie dyktowali wiernym papież — Leon XIII i Pius XI.

„Gdyby te generalne prawdy, ustalone raz na zawsze przez encykliki społeczne, były powszechnie, choćby w najbardziej różnorodnej formie zastosowane, pisze w swoim odważnym artykule dr Kazimierz Studentowicz (Tyg. Warszawski) — weszlibyśmy w złoty wiek ludzkości. Od tego złotego wieku odgradza nas zatem nie brak znajomości drogi, którą kroczyć należy, lecz brak sprawiedliwości i miłości w aktualnych stosunkach ludzkich...”

„Sprawiedliwość i miłość warstw posiadających była zbyt długo głucha, musiała przyjść do głosu siła. W centrum nerwowym sił gospodarczych znalazła się obecnie warstwa robotnicza, która uświadomiwszy sobie swą pozycję, zdecydowała wziąć się do czego jej sprawiedliwość i miłość nie dała, a co się jej, według przekonania należało...”

W tym samym piśmie na innym miejscu Jan Wiśliński dodaje:

„Można śmiało stwierdzić, że świat chrześcijański nie ocenił na leżycie wskazań „Rerum Novarum” ani do czasów pierwszej wojny światowej, ani nawet do drugiej, ani jeszcze obecnie”.

O taką właśnie szczera i odważną postawę upominaliśmy się od bardzo dawna. Ona właśnie charakteryzowała przede wszystkim wyznawany przez nas radykalizm społeczny, wokół którego to pojęcia rozciąła się w swoim czasie na łamach prasy katolickiej zacięta walka polemiczna

„U podstaw radykalizmu społecznego musi tkwić obiektywna ocena własnych osiągnięć, stwierdziliśmy półtora roku temu („Raz jeszcze o radykalizmie, „D. i J.” z dn. 1.1.47 r.). Uczciwy rachunek każe stwierdzić, iż osiągnięcia społeczne katolików na przestrzeni ostatniego półwieku — są zbyt małe.

Nie wystarczy bowiem, jak wielu lubi to czynić, powoływać się na iście rewelacyjną głębię Społecznych Encyklik, na wybitny rozwój katolickiej socjologii, nie wystarczy wymieniać jednym tchem długą listę najwybitniejszych społecznych działaczy katolickich. Trzeba przy tym mieć odwagę stwierdzenia, że wskazania Encyklik nie zostały przez katolików w należyty sposób wykonane, i że w poszczególnych społeczeństwach katolickich działaczom społecznym w malej mierze udało się przełamać bierność i indyferentyzm na tym odcinku”.

Cieszy nas dziś, że na płaszczyźnie radykalnej oceny odpowiedzialności za przeszłość spotykamy się znowu, mimo wielu innych różnic jakie wyłoniły się między katolickimi środowiskami w Polsce.

#### O ŚRODKI REALIZACJI

Właściwa ocena przeszłości każe stwierdzić, iż nie katolicyzm jest winien brakom społecznym obecnego świata jak zarzucają różni przeciwnicy. Kościół przez usta swych Papieży jasno i niedwuznacznie wskazał światu właściwą drogę. Od odpowiedzialności po stronie katolickiej spada na tych, którzy, znając właściwą drogę — nie chcieli po niej kroczyć, gdyż wydawała się zbyt trudna. Rzecz oczywista, że ocena sprawiedliwa każe odpowiedzialnością obciążyć także i tych, którzy wprawdzie skrzywdzeni, szli mimo ostrzeżeń drogą gwałtu i nie nawiści utrudniając jeszcze głoszenia dzieła sprawiedliwości i miłości.

Dla nas z punktu widzenia moralnego — większą wagę ma ta część odpowiedzialności, która obciąża katolików, którzy nie zdobyli się na pokonanie trudności i wprowadzenie w życie Encyklik Społecznych.

Istnieją jednak, obok konsekwencji moralnych, także i konsekwencje praktyczne tej odpowiedzialności. Polegają one na faktach, iż katolicyzm nie posiada do dziś dnia praktycznego wzorca realizacyjnego swej doktryny społecznej i nie posiada również siły materialnej, politycznej, zdolnej do walki o jej prowadzenie.

Wzorcem realizacyjnym nie nazywamy bowiem liczących nawet bardzo szczegółowych wypowiedzi teoretycznych. Nazywamy konkretne osiągnięcia ustrojowe, które pozwalają eksperymentować i udoskonaląć praktycznie głoszone poglądy.

Które społeczeństwo, jaki urząd istniejący może być uznany za praktyczną realizację Encyklik Społecznych, za wzorzec i laboratorium dla działalności społecznej katolików w świecie?

Z tym problemem wiąże się następny. Oczywiście jest dziś dla każdego działacza, że zakrojony na miarę światową program reformatorski musi się opierać o konkretną siłę, zdolną do zapewnienia egzekutywy głoszonym hasłom. Katolicy są wszędzie na świecie, ośrodki działania i propagandy hasła społecznych katolickich są też wszędzie rozsiądane, czy jednak mogą im wystarczać środki lokalne, zdobywane tylko wysiłkami poszczególnych społeczności katolickich? Wszyscy dobrze wiemy, że na tak wielką skalę te środki nie starczą.

Ten brak materialnej siły, na skalę światową, zdolnej do udzielenia poparcia politycznego, materialnego, czy moralnego programowi

społeczno - katolickiemu przesądza od razu taktykę katolicką, która nie może się upadabniać do metod działania tych, którzy w światowym układzie sił politycznych znajdują dla swych programów konkretną podporę.

Ten stan rzeczy naszym zdaniem jest dziś niewątpliwie niekorzystny dla sprawy katolickiej.

#### PRZECIW POGLĄDOM WIĘKSZOŚCI

Mamy pełną świadomość, iż mogło być inaczej gdyby od połowy dziewiętnastego wieku inna była aktywność katolików na odcinku społecznym. W okresie od 1848 do 1923, to znaczy od chwili przeżycia się prądów wolnościowych przez pośpiesznie budowane przez politykę Świętego Przymierza tany aż do dojścia do władzy pierwszego ruchu totalistyczno-faszystowskiego, stosunkowo duże były możliwości swobodnego rozwoju tak idei społeczno-katolickich, jak i ewolucji form ustrojowych zgodnie z tym programem.

Możliwości te nie zostały wykorzystane. Dlaczego? Nad oceną tego okresu historycznego z punktu widzenia rozwoju katolickiego programu społecznego pracowano dotychczas niewiele. Zasugerowani osiągnięciami teoretycznymi, wyrażonymi w Encyklikach, historycy zbyt mało uwagi zwracali na fakt, iż ci, którzy ten program wówczas budowali byli w społecznościach katolickich znikomą mniejszością, mniejszością zwalczaną, wyśmiewaną, nierzadko szkalowaną.

Jan Wiśliński przypomina, że encyklika „Quadragesimo Anno” — „we własnej ojczyźnie Ojca św. uzyskała w pewnych kręgach katolickich dla jej twórcy epitet „socialisty”. To samo lub podobne miano spotykało się u większości działaczy chrześcijańsko - społecznych. Ileż to tragedii, dodaje

autor, odgrywało się wśród narodzin tych wszystkich prac doktrynalnych i realizacyjnych”, my zaś możemy do tego dorzucić, że tymi i podobnymi epitetami obrzucało się postępowych działaczy nie tylko za czasów Leona XIII, lecz czynią to konserwatyści z upodobaniem po dziś dzień.

W tym właśnie tkwi niepokojąca prawda historyczna, że w okresie gdy dla katolicyzmu otwierały się możliwości zdobycia sobie niezbędnej bazy dla realizacji programu społecznego, gdy ważyły się losy przyszłego ustroju ludzkości — ogromna większość katolików wbrew wskazaniom Kościoła wykazywała niewątpliwie sympatie ku konserwatyzmowi społecznemu. Wykazywała szczerą chęć solidaryzowania się i współpracy z prawiocowymi ruchami politycznymi. Miała popierać i walczyć o realizację społecznego programu papieskiego — wpływowe koła katolickie walczyły długo i bezskutecznie z ustrojem republikańskim, z emancypacją kobiet, z ruchami zawodowymi. Sympatie dla programów konserwatywnych, dla społecznej prawicy, dla ludzi zamożnych i dobrze urodzonych obciążały nadmiernie mentalność katolików i w wieku XX, zmuszając do przełamywania najzupełniej zbędnych oporów przy realizacji katolickiego programu społecznego. Opory te winne były się już rozwiązać dawno temu!

Rozważając odpowiedzialność polityczno - społecznych ruchów chrześcijańskich za powstanie i rozwój faszyzmu — „Esprit” wysunął pięć ważkich zarzutów:

1. że narody katolickie wytworzyły typ państwa najbardziej zacofanego społecznie — jak Cesarstwo Austriackie, Hiszpania, Portugalia;
2. że w społeczeństwach o przewadze katolickiej, walka między ruchami postępowymi a spasięciną „ancien regime” była najcięższa;
3. że najautentyczniejsi przedstawiciele myśli katolickiej i czołowe postacie polityczne katolickie, wywodziły się w przytłaczającej większości z prawicy społecznej;
4. że dzięki temu brak znajomości i zainteresowania losami mas pracujących był w kołach katolickich rażąco, mimo encyklik;

### WYTYCZNE

#### O szczęściu

Szczęście można osiągnąć tylko wówczas, gdy nie czyni się go celem bezpośrednim. Ci są szczęśliwi, których myśli są skierowane ku jakiemuś przedmiotowi innemu niż własna szczęśliwość: ku szczęściu innych, ku poprawie ludzkości, lub nawet ku jekiejś sztuce albo studium, uprawianym nie jako środek, lecz jako idealny cel w sobie. Ludzie dążący w ten sposób do czegoś innego, znajdują szczęście po drodze”.

J. St. Mill — Autobiografia, str. 99.

Dmitrijew

5. że wreszcie społeczeństwa katolickie tolerowały laryżującą moralność „praktykujących bogaczy”, którzy dzieląc się krzywdę społeczną pragnęli ukryć pod blizną dobroczynności pompatycznej i dogadzającej ich próżności.

Nad tymi zarzutami, może jednostronnie sformułowanymi, ale także i niewątpliwie prawdziwymi nie wolno przechodzić do porządku dziennego ze wzruszeniem ramion. Tym bardziej nie zadowoli oskarżających odpowiedź, wymienająca nazwiska wybitnych działaczy społecznych, katolickich od Ozanama aż do don Sturzo. Trzeba, formułując odpowiedź na te zarzuty pamiętać o tych, którzy, jak Leon Bloy byli w tym czasie katolikami postępowymi — mimo nastawienia większości, i o tych, znaczniej liczniejszych, jak Prudhon, którzy z tego powodu katolikami nie byli!

#### POWOJENNY ZRYW RADYKALIZMU SPOŁECZNEGO

Jest faktem, że z winy konserwatywnych upodobań katolicy nie potrafili w okresie najbardziej sprzyjającej koniunktury wyjść daleko poza sformułowania teoretyczne. Praktycznie nie stworzyli dla swego programu oparcia w żywej sile, nie stworzyli wzorca w żywym ustroju. Dziś stoimy w obliczu sił politycznych i materialnych, które walczą o władzę nad światem, a z których żadna nie reprezentuje ani formalnie, ani faktycznie programu Wielkich Encyklik Społecznych.

Katolicyzm nie dysponuje więc dziś siłą zdolną do rywalizowania z istniejącymi potęgami politycznymi w pojedynku o władztwo nad światem. Rola katolików w tej rozgrywce nie może więc polegać na wydzieraniu stronom walczącym inicjatywę z ręki, bo nie ma jak tę inicjatywę przejąć. Rola ta musi polegać w obecnym okresie przede wszystkim na oddziaływaniu zgodnym z katolickim programem społecznym na walczące siły, oraz na konsekwentnym wzmocnieniu własnych szeregów, w przystosowaniu się do każdorazowych warunków lokalnych.

Na przełomie wojny i pokoju możliwości inicjatywy katolickiej tak właśnie, realistycznie rozumianej — wydawały się bardzo duże. W krajach, które z bliska zobaczyły okropności wojny i zwyrodnienie faszystowskich doktryn i programów — rok 1945 był rokiem niewątpliwie głębokiego zrywu katolickich ideałów społecznych. Zryw ten, po raz pierwszy od dawna szedł od dołu, od szerokich mas społeczeństwa, nie był wyrazem teoretycznych założeń, lecz praktycznych potrzeb.

Na zachodzie Europy zryw ten znalazł wyraz nie tylko w niespodziewanym wzroście sił liczebnych ugrupowań katolickich, ale i przede wszystkim w radykalizowaniu ich społecznego programu. Tak było z M.R.P. we Francji, tak z Chrześcijańską Demokracją we Włoszech. W Anglii zaś do zwycięstwa Labour Party nie miało przyczyniły się głosy katolickie, gdyż wbrew pozorom, jakie stwarza „The Tablet” — ogromna większość katolików angielskich nie jest bynajmniej konserwatywnej orientacji.

Ten zryw radykalizmu społecznego katolików na zachodzie Europy załamał się stosunkowo szybko pod dwustronną presją, od wewnątrz — kół pravicowych, które konsekwentnie zdobywały na powrót pozycje katolickie, od zewnątrz — pod presją wypadków międzynarodowych i rysującą się na zachodzie coraz to mocniej, hegemonią USA, które nie były skłonne tolerować społecznie radykalnych tendencji katolickich.

Ścisłe ustalenie kolejnych etapów ofensywy i odwrotu katolickie

go radykalizmu społecznego w Europie powojennej będzie niewątpliwie ciekawym zadaniem dla przyszłych historyków obecnej epoki.

Dziś radykalizm społeczny powrócił tam z powrotem na pozycje czysto teoretyczne, stanowi na powrót przedmiot ciekawych i głębokich rozpraw, a ugrupowania katolickie przeszły na wątpliwie pozycje politycznej „trzeciej siły”. Biorąc zaś pod uwagę realny układ sił politycznych — tak pojęta „trzecia siła” nie może być niczym innym jak parawanem ułatwiającym mobilizowanie i dojście władzy jawnie konserwatywnych i pravicowych sił. Sądźmy, że zarówno we Francji jak i we Włoszech ugrupowania katolickie, nie zdolne już do panowania nad rozwojem wydarzeń, winne były już dawno temu oddać inicjatywę w inne ręce, a same skupić się na obiektywnej krytyce postępowania i poglądów zarówno lewego jak i prawego partnera. Tą drogą zachowały by własną, niezależną, trzecią pozycję moralną i ideową, zachowałyby nienaruszony autorytet katolickiego programu. Taktyczne rozgrywki w walce o władzę, a więc i ubieganie się o życzliwość możniejszych protektorów — naruszyły już poważnie ten kapitał autorytetu i zaufania, z jakim te ruchy startowały w roku 1945.

W latach 1945 — 1947 działo się podobnie i w Polsce. Znacznie trudniejsze warunki polityczne startu, brak dostatecznie wyraźnych tradycji i wyrobionych kadr organizacyjnych, wreszcie zbyt słabe wyodrębnienie się aktywności katolickiej z całokształtu działalności konspiracyjnej spowodowało, że ów zryw społeczny nie przybrał w Polsce form tak wyraźnych, jak na zachodzie. Niemniej żywiłowość wzrost prasy i publicystyki katolickiej, pełna poświęcenia aktywność młodych zespołów katolickich działaczy wyrażała tę samą co i na zachodzie tęsknotę za wyłamaniem się z opłotków konserwatywności i bierności.

„Nie przywiązywać wagi do przeżyjących się form, a walczyć tylko o treść, szukając dla niej nowych form i wypracowując przeciwnika śmiałością proponowanych rozwiązań, gdy chodzi o reformy płynące z ducha chrześcijańskiego”, oto hasło rzucane na zjeździe w Częstochowie w roku 1945, poparte wówczas nazwiskami najbardziej autorytatywnymi.

Cały rok 1946 był okresem zmagania się tego zrywu radykalizmu społecznego z oporami własnego obozu i z przeszkodami wynikającymi ze specyficznej sytuacji politycznej państwa (brak konkordatu itd.). Byliśmy i jesteśmy w dalszym ciągu przekonani, że w tym czasie istniały obiektywne możliwości stworzenia politycznej bazy działania społecznego, pod warunkiem jednak, by tu, tak jak i na zachodzie odgrodzić się od ambicji czynnego udziału w światowym pojedynku mocarstw.

Możliwości te nie zostały wykorzystane. Mimo zasadniczych różnic zewnętrznych — sytuacja sił katolickich pragnących głosić społeczny program Encyklik pozostaje identyczna — zmusza do skupienia wszelkich sił na wewnątrz, dla przełamania wewnętrznych oporów, skrytowania programu realizacyjnego, przystosowanego do konkretnych warunków, w których żyją i chcą działać katolickie społeczności. Konkretne te, wymagają przede wszystkim znajomości psychiki i programów przeciwników ideowych, wypracowanie sobie drogę zbliżania ich do katolicyzmu, a nie odsuwania. To problem zrewolucjonizowania metod działania katolików, każąc im przyjąć założenie, iż mają żyć i działać w ustrojach im ideowo obcych, które dopiero własną pracą muszą zdobyć i na-

wrócić, a nie to, że mają czekać, aż pod naciskiem koniunktury ustroje się zmienią same na lepsze.

„Geniusz myśli chrześcijańskiej, stwierdza Jan Wiślicki, winien się skierować... na tory poszukiwań właściwego rozwiązania zagadnień trójczności i współzycia społecznego. Opierając się na dorobku dotychczasowym trzeba sięgać po nowe zdobycze i nowe określenia katolicko - społeczne”.

#### KATOLICYZM A „DWIE SIŁY”

Trzeba tę kardynalną prawdę obecnej epoki stwierdzić jasno: nie istnieją w chwili obecnej trzy siły polityczne, rywalizujące o władztwo nad światem i o możliwość realizacji konkretnego programu przebudowy lecz tylko dwie: komunistyczna i kapitalistyczna. Katolicyzm posiada swą własną i niezależną, ale przeczalną pozycję moralną i ideową, posiada w poszczególnych społeczeństwach lepiej lub gorzej zorganizowane lokalne siły realizacyjne nie posiada jednak takich, które by mu pozwalały występować na arenie światowej w charakterze trzeciego równorzędnego partnera. Mogło być inaczej. Nie stało się tak w dużej mierze z winy samych katolików. Nie rezygnują, z możliwości odrobienia na przyszłość tego stanu rzeczy trzeba jednak dziś obrać takie metody postępowania, które odpowiadają rzeczywistości. Polegają one na walce o chrześcijańskie istniejących sił, jako zadaniu zasadniczym, i na tworzeniu sił własnych z przeświadczeniem, że do tego celu mają być przede wszystkim użyte. Metoda ta nie jest nowa. Katolicyzm częściej chrystianizował obce mu kierunki, niżli budował własne.

Wyrażając się językiem dialektycznym — w chwili obecnej jest zagadnieniem najwyższej wagi, by postawa katolików w stosunku do obcych ruchów ideowych i politycznych nie upraszczała się do ich antytezy. Encykliki społeczne stanowią pełną syntezę myśli chrześcijańskiej z potrzebami i nowościami współczesnych społeczeństw.

Dziś zaś odczuwamy w przeciętnej postawie katolika nastawienie do rządzenia się przede wszystkim negacją — jedni negują kapitalizm — uzależniając się przeto psychicznie i ideowo od jego antytezy — komunizmu, inni liczniejsi negują komunizm by, świadomie czy nie popaść w zależność doktryny kapitalistycznej.

Doktryna społeczna katolicka nie jest ani antytezą komunizmu, ani kapitalizmu. Jest pełną, niezależną wartością, zdolną jednakże i do czerpania z obcych doświadczeń. Musimy wyzwolić się z psychozy, że walka, która się dziś toczy między dwoma potęgami akatolickimi ma zadecydować o losie katolicyzmu. Będzie on trwał, rozwijał się i zwyciężał niezależnie od tego, która z tych dwóch stron zwycięży w pojedynku o władzę. W imię własnie katolickiej doktryny społecznej nie godzimy się na żądanie dokonania totalnego ideowego wyboru między tymi dwoma biegunami. W imię tej samej zasady nie możemy się godzić, by powaga i autorytet Kościoła był nadużywany w taki sposób, by potępienie błędów jednej strony mogło się wydawać jednocześnie rozgrzeszeniem błędów drugiej. Dziejącego się na świecie konfliktu nie godzimy się rozsądzać na zasadzie sympletycznego podziału na dobrych i złych. Dobro i zło idzie bowiem poprzez linie frontów ideologicznych i politycznych. Katolicy utrzymują swą niezależną i niezależną postawę tylko wówczas, jeśli potępiając zło, czy chwając dobro, będą swe sądy sprawiedliwe, rzetelnie i bez jednostronnych uprzedzeń rozdzielać.

Wiemy doskonale, że nawołujemy do postawy niezwykle trudnej, wymagającej od katolików granito-

wej zwartości ideowej i odwagi moralnej hartowanej jak stal. Dla tego słusznie przypomniał Konstancy Turowski w „Tygodniku Powszechnym” słowa kardynała Suharda:

„Jest tylko jeden katolicyzm, jest on społeczny, lub nie jest katolicyzm w ogóle!” a sam od siebie stwierdza — „Przyszły czas, które muszą nas wyleczyć z bierności, oportunisty i braku konsekwencji”.

Trzeba to sobie też dosadnie powiedzieć. Pełnowartościowym katolikiem może dziś być tylko ten, który realizuje doktrynę katolicką.

#### KATOLICYZM JEST UNIWERSALISTYCZNY

Katolicy jednak nie żyją dziś wszyscy w jednakowych warunkach społecznych, więc różnie muszą swe zadanie wykonywać. Z grubsza dzieląc, jedni katolicy żyją w społeczeństwach o ustrojach liberalistyczno-kapitalistycznych, inni w ustrojach zsocjalizowanych. W jednym jak i w drugim świecie zadania katolików muszą być przede wszystkim pozytywne, to znaczy polegające na chrystianizowaniu pojęć i ustrojów, a tylko drugorzędnie mogą być negatywne.

Rodzi to niewątpliwą trudność — walka ta może prowadzić do innych wyników w każdym z tych dwóch światów może prowadzić do wytworzenia się dwóch różnych katolickich wzorców praktycznych, do wychowania dwóch różnych typów katolików. Uświadomiamy sobie trudności stąd wynikające, zwłaszcza dla kierowniczych czynników Kościoła. Różność ta jednak zgodna jest z zasadniczo uniwersalistycznym charakterem katolicyzmu, i sądźmy, że następcą będzie ostatecznie nie więcej trudności niż kierowanie poszczególnymi gminami chrześcijańskimi w pierwszym okresie chrześcijaństwa. Z drugiej strony podział ten na dwa odmienne światy musi się kiedyś, wcześniej czy później zatrzeć. Chodzi jednak o to, by nie wstrzymywać rozwoju katolicyzmu aż do tego momentu.

Podkreślamy raz jeszcze, iż czynnikiem najważniejszym, przyjmując jako fakt ten podział, który mi mo naiwnych optymistów nie jest bynajmniej taki prosty do odrobienia, jest jednolitość i moc postawy katolickiej. Odnosi się to w tej samej mierze do spraw religijnych, jak i do najszerzej pojętych spraw społecznych — bo jest tylko jeden katolicyzm i jest on społeczny!

#### NIE WOLNO SIĘ COFAĆ

Mówiąc o współczesnych konsekwencjach Encyklik Społecznych, trzeba jednak poczynić jedno ważne zastrzeżenie. Odnosi się ono do aktualności niektórych wskazań realizacyjnych. Wszyscy pisarze, którzy z okazji rocznicy Encyklik Społecznych zabierali głos w tej sprawie poczynili te zastrzeżenia ogólnikowo.

„Należy się oczywiście z tym zgodzić, pisze Jan Wiślicki, że w sformułowaniu doktryny encyklika zawiera w sobie sporo ujęć właściwych swemu okresowi historycznemu i nawet pewnej określonej postawie cywilizacyjnej”.

My pragniemy to zastrzeżenie sprecyzować. Encykliki pisane były dla katolików, żyjących w ustrojach liberalno - kapitalistycznych, wskazując właściwą drogę reformowania tych ustrojów, a nie popadania przy tym w niebezpieczne skrajności. Jak stwierdziliśmy to uprzednio, wiele społeczności katolickich żyje dziś w ustrojach nie kapitalistycznych, lecz socjalistycznych, i to w takich, które nie raz popadają w skrajności, przed jakimi ostrzegali Papieże. Wielu katolików wyciąga z Encyklik najzupełniej myślny wniosek, iż każą one w takim wypadku walczyć o nawrót do ustroju kapitalistycznego, by od tego momentu dopiero podejmo-

wać ponownie dzieło reformy społecznej.

Wniosek podwójnie niebezpieczny i błędny. Raz dlatego, że ani historia ani tym bardziej ustroje społeczne nie cofają się, tak jak Restauracja nie cofnęła zdobyczy Rewolucji Francuskiej. Następnie zaś dlatego, że komentarz taki wykorzystywany jest jako ordynarny wabik, ciągnący, obarczonych pravicowymi skłonnościami katolików w objęcia kapitalizmu liberalistycznego, jasno i niedwuznacznie potępionego przez katolicką doktrynę społeczną. „Poprzyjcie nas, kuszą, użyźcie nam autorytetu Kościoła, a potem, kiedyś my, nawróceni liberalni materialści, wyznawcy złoto-cielca, poprzemy wasze reformy”. Kłamstwo, mające na celu sprowadzić doktrynę społeczną katolicką do fikcji.

Dzieło reformy społecznej mogą i muszą katolicy podejmować niezależnie od punktu wyjścia, zarówno z płaszczyzny socjalistycznej jak i kapitalistycznej. W naszych konkretnych warunkach — domagamy się właśnie przystąpienia do pracy od zaraz, przyjmując za punkt wyjścia te formy społeczne, jakie się obecnie wytworzyły. Widzimy w nich bowiem obok błędów do naprawienia także i wartości, których utrzymanie jest również zadaniem katolików. Rzecz oczywista, wymaga to w pierwszym rzędzie przełamania konserwatywnych nastrojów. To nasze, wewnętrzne zadanie.

Praca katolicka w ustroju zsocjalizowanym jest być może trudniejsza niż w innych. Wymaga zupełnie ponownego przemyślenia pod tym kątem widzenia tych „absolutnie niezbitych prawd moralnych, społecznych i gospodarczych”, stanowiących kwintesencję, nieprzemijalną wartość encyklik. Praca ta, bądźmy szczerzy nie jest dokonywana, lub w zbyt małym stopniu. Rzecz oczywista, że najcenniejsza byłaby dziś nowa encyklika od tej strony analizująca zadania i obowiązki katolików. Gdyby nawet była tak rewolucyjna i postępowa jak poprzednie, niemniej na pewno stawałaby zadanie trudne, i bynajmniej nie ugodowe. Trzeba jednak też przypomnieć, że „Quadragesimo Anno” i „Rerum Novarum” były poprzedzone długoletnimi pracami przygotowawczymi działaczy i myślicieli katolickich. Próżno oczekiwać na rozwiązania najbardziej autorytatywne, tak długo, jak my właśnie, katolicy sami tych zagadnień nie przeorzemy własnymi siłami.

Czas najwyższy do tych problemów podejść rzeczowo, porzucając puste nawyki myślowe. Mamy w spuściznie ostatniego pół wieku pracy katolickiej dość budujących przykładów. To także trzeba przypomnieć w rocznicę Encyklik.

Reasumujemy wnioski:

- postawa katolicka w ciągu ostatnich stu lat jest nadmiernie obciążona konserwatywnymi, pravicowymi tendencjami.
- to obciążenie spowodowało, iż niewyzyskany został odpowiedni czas dla stworzenia warunków pełnej i samostmej realizacji Encyklik.
- w warunkach obecnych istnieje konieczność przedłożenia pracy nad chrystianizacją istniejących sił politycznych nad budowaniem trzeciej politycznej siły katolickiej na miarę światową,
- katolicy muszą przeto wykażać przygotowanie i zdolność spełniania tego zadania wychodząc tak od ustroju kapitalistycznego, jak i socjalistycznego.
- pozytywna praca nad chrystianizacją ustrojów socjalistycznych nie jest jeszcze należyście postawiona.

Wojciech Ketrzyński

Pewel Jasienica

# Rozmyślania nad przyslaną książką

Rozmaite rzeczy przysyłają czytelnicy do redakcji. Wycinki gazet, projekty kampanii prasowych, najczęściej jednak listy z aprobatami lub wymyślaniami. Rzadko się zdarza, by czytelnik nadesłał książkę. Zajmują się tym przeważnie firmy wydawnicze.

Otóż niedawno temu do redakcji „Tygodnika” przyniósł listonosz paczkę, przeznaczoną dla mnie. Adres nadawcy niewiele mi powiedział, wymieniając nieznaną mi wieś w województwie warszawskim. Paczka zawierała książkę nazywającą się „Parafia Kompina”, a napisaną przez proboszcza tejże parafii, księdza magistra Józefa Wieteskę. Rok wydania — 1948. Książkę wysłał mi sam autor.

Zacząłem przeglądać tę niewielką, dwustronicową zaledwie monografię historyczną. Pełny aprat naukowy — bibliografia, mapa, skorowidz treści, indeksy. Wszystko jak się należy. Druk (Drukarnia Milicji Niepokalanej — Niepokalanów) piękny, papier dobry. Na okładce doręczny drzeworyt. Dowiaduję się dalej, że autor monografii objął parafię w r. 1937. Książkę zaś wydał w r. 1948. Czyli, że pisał podczas wojny. Więc jednak można było i w tych nawet warunkach, siedząc na głuchej prowincji, zajmować się pracą naukową.

Nie wiedziałem i wielu czytelników też zapewne nie wie, gdzie leży wieś Kompina. Nad Bzurą; niedaleko Łowicza. By oddziaływać na wyobraźnię wspomnę, iż na terenie tej wsi we wrześniu toczyły się fragmenty „bitwy pod Kutnem”, a bez mała ćwierć wieku wcześniej — w 1915 roku — w tamtych właśnie stronach, nad Rawką, po raz pierwszy użyli Niemcy gazów trujących.

Mam zwyczaj sporo włóczyć się po kraju. Obecnie — w związku z podróży reportażowymi — jeżeli pobędę w Krakowie bez przerwy miesiąc to już mi się wydaje, że zasiadziałem się haniębnie. Podczas tych wędrówek przejeżdża się przez dziesiątki i setki wsi. W jednym miejscu zastanowi człowieka nazwa miejscowości, jakby żywcem wzięta ze starej lektury. Jakies Koziegłowy, czy inna Korytnica. Gdzie indziej znowu ujrzyś coś tak dziwnego jak posesja św. Floriana we wsi Nakło, powiatu woszczońskiego. Patron od pożarów figuruje tam w pięknym kompletnym mundurze z czasów napoleońskich. Jest i „pieróg”, nie brakuje mundururowego surduta, ani długich butów. Gdzieś jeszcze indziej zwróci uwagę ciekawe położenie wioski, piękny kościółek, stara ruina. I tyle

tylko z tego wszystkiego, że obraz zostanie w pamięci. Bo tak już u nas jest, iż nielato dowiedzieć się czegoś konkretnego o przeszłości, pochodzeniu i dziejach wielu, bardzo wielu osiedli ludzkich. Gdyby za każdym razem odbywać specjalne studia biblioteczne i zgłębiać archiwalne to wtedy może... Ale kto ma na to czas?

Jeszcze za gimnazjalnych lat zdarzyło mi się raz pewnego trafić w dziwne miejsce. Było to w sandomierskim. Wśród pól ogrąglawa, obszarna kotlina, o dnie wydętym w skaliste wzgórza. Na szczycie zaś samotna baszta. Czworograniasta, zbudowana z kamiennego łupku. Z jednej strony wzgórz resztki kamiennego mostu ginące w krzakach tarniny. Zapytałem gospodarza z sąsiedniej chałupy co to jest takiego.

— A cóż by? Baszta — powiedział i odszedł do swojej roboty.

I tak do dnia dzisiejszego nie wiem nic o owej wieży. W niedalekim miasteczku też nikt mi nic powiedzieć nie potrafił. Zadnej traktującej o tym książki, żadnego „przewodnika” nie było.

Wszystkie te perypetie przypominały mi się żywo, kiedy zacząłem studiować książkę księdza Wieteski. Nie wiem, nie wyobrażam sobie, jak może wyglądać wieś Kompina. Nigdy tam nie byłem, rzeki Bzury na oczy nie widziałem. Trzeba będzie chyba pojechać i przekonać się, jak tam jest dziś. Bo dzięki autorowi monografii dowiedziałem się, jak tam było setki lat temu, jak gospodarowali i jak się zwali chłopci zamieszkujący ongiś wioski tej parafii. Ile mieli ziemi, co zbierali i jaką odrabiali pańszczyznę. Wiem, z ilu izb składała się plebania, jak mieszkał, ile i czego dostawał ordynarii ekonom biskupiego folwarku w wieku osiemnastym. Wiem nawet jakie, jakiej maści konie wchodziły w skład biskupiej stadniny w owych czasach.

Relacja autora prowadzi nas poprzez dzieje wsi, której losów w wieku XII dotyczy bulla Papieża Innocentego II. Poznajemy rozwój i bogactwo regionu w wieku XIV, za rządów biskupa Jarosława Bogorii Skotnickiego. Widzimy mizerię i upadek spowodowane w XVIII stuleciu przez ciągłe wojny i kwatunki wojska. Dowiadujemy się, że rządy biskupie były znacznie lepsze od szlacheckich. I tak dalej, poprzez wiek XVIII, XIX, dzieje obu wojen światowych — aż do ostatnich chwil.

Krótko: książka zawiera materiał wprost bezcenny. Bezenny dla każdego kogo interesuje prawdziwa, nie-

falszowana historia polskiego chłopca. Bezenny dla literata, pragnącego uzyskać głęboki wgląd w zamierzoną epokę.

Monografia księdza Wieteski nie należy oczywiście do t. zw. pomnikowych. Jest to raczej przyczynek do społecznej i gospodarczej historii kraju. Ale — o ile się w tej materii orientuję — możliwość powstawania wielkich „pomnikowych” opracowań historycznych w znacznej mierze uzależniona jest od tego czy nieknięte dotąd połacie dziejów przeorane zostaną przedtem przez prace „przychylnarskie”. Nawet laik łatwo wyobrazi sobie, co czeka historyka pragnącego dać wielkie, syntetyczne dzieło, jeżeli wszystkie potrzebne do tego materiały przez nikogo nie ruszone i nie opracowane spoczywać będą po archiwach. Jeżeli ktoś kto zapragnie dać rzetelny obraz życia chłopca polskiego w wieku — dajmy na to — XVII będzie musiał sam dowiadywać się i ustalać, jak to było podówczas we wszystkich Kompinach w Polsce.

Przychodzą mi na myśl prace zmarłego tuż przed wojną Oitona Hedemana. Był to nauczyciel, który zajął się gorliwie badaniem przeszłości dawnego północno - wschodniego kąta Polski. Byli tacy, którzy lekceważyli pracę Hedemana, mówiąc, że to małej skali książka, że brak „syntezy” itp. Zapominali, że dzięki pracom tego badacza przestaliśmy się bezradnie błąkać po dziejach Dżizny czy Druzi, że dzięki niemu obszerne połacie historii udostępnione zostały zarówno świadomości czytającego ogółu, jak i dalszemu badaniu.

Podobna też historia zachedzi z książką księdza Wieteski i dlatego to tak się ciesze z jej wydrukowania. To nie tylko o to chodzi, że wieś i parafia Kompina wyszły z zakletego kręgu miejscowości o dziejach zamkniętych na pięćdziesiąt siedem lat. Ukazanie się tej monografii jest dowodem, że toczą się u nas prace może niezbyt efektowne, ale za to arcy potrzebne.

Tylko — kto te prace będzie wykonywał?

Monografię o Kompinie napisał ksiądz. Jest to zjawisko raczej wyjątkowe, gdyż niewielu księży posiada fachowe przygotowanie historyczne, pozwalające na metodyczne prace naukowe w tej właśnie dziedzinie wiedzy. To nie jest specjalność księży. Mają oni inne — lepsze. Istnieje natomiast inna kategoria inteligencji, predystynowana niejako do tego, by zająć się studiami nad historią polskiej głębokiej prowincji. Mam na myśli nauczycielstwo gimnazjalne. Niemal każdy z tych profesorów odbył przecież wyższe studia, posiada tytuł naukowy, nabrał wprawy przy pisaniu pracy magisterskiej. Ale — to jeszcze grubo nie wszystko. Powinny jeszcze istnieć warunki umożliwiające profesorowi gimnazjalnemu pracę naukową *sensu stricto*. Tych warunków dziś tak dobrze, jak nie ma.

Wiem, że to dość komiczna propozycja pod adresem przeciętnego pracownika i marnie płatnego nauczyciela, by zajął się jeszcze i studiami naukowymi. Przecież czas wolny od zajęć zawodowych zużywa dziś nauczyciel na dodatkowe prace zarobkowe. Tak jest i wszyscy o tym wiedzą (a przynajmniej wiedzieć powinni). A jednak dobro kultury pol-

skiej wymaga, by każdy, kto posiada odpowiednie wykształcenie, miał możliwość poświęcenia się także i pracy naukowej w swojej specjalności. Popatrzmy na Niemców. Weźmy do ręki ich wydawnictwa naukowe i przeczytajmy sobie tasemcowe wykazy prac i rozpraw doktorskich publikowanych u nich przez nauczycieli gimnazjalnych. Ta lektura da coś niecoś do myślenia.

Nie wiem, jak to jest teraz, ale przypominam sobie, że przed wojną niektóre kuratoria niechętnym okiem patrzyły na nauczycieli zajmujących się pracą naukową. Nazywało się, że taki nauczyciel zaniedbuje swe obowiązki pedagogiczne. Taka postawa była postawą wręcz antykulturalną. Powinno się postępować odwrotnie. Należy premiować nauczycieli piszących rozprawy naukowe, monografie, książki. Trzeba, by istniały materialne udogodnienia dla nich.

Po prawdzie — jak Polska Polska, nigdyśmy uczciwie nie dbali o to, by możliwie, jak największa liczba osób pracowała nad badaniami naszej narodowej przeszłości. Jeszcze dawniej, kiedy życie toczyło się spokojniejszym nurtem, wodziły piórami po pergaminach rozmaite klasztorne skryby, a ten i ów co światlejszy szlachan spisywał swoje silva rerum, notując kronikę miejscowych wypadków i rozprawiając *de omni re scibili (et quibusdam alijs)*. Z biegiem czasu obyczaj ten ustał. Myszy zjadały bezcenne rękopiśmienne źródła, poniewierające się po strychach dworów, zakamarkach plebanii i prowincjonalnych magistratów. Przyszła potem jedna i druga wojna — całe archiwa, nie opracowane, a częstokroć i nie czytane przez nikogo, poszły z dymem, albo krowom na podściółkę. Bezpownotnie przepadły całe rozdziały historii polskiej.

Przypominam sobie, jak kiedyś tam przed wojną, pewna paniusia pokazała mi garść papierów, z którymi nie wiedziała co począć. Był tam urzywek jakiegoś rękopisu, kawałek mapy ręcznie rysowanej i strzęp pergaminu, u którego dolnego brzegu widniał koślawy podpis. Dymitr Car! Inaczej mówiąc: Dymitr Samozwaniec. Początek wieku XVII. I cóż — papierzyska owe to już były tylko nędzne resztki przypadłej większej całości. Dałem paniusi adres archiwum i poradziłem, by rękopisy tam właśnie odniosła.

Jałowy żal za tym co zginęło nie może zastąpić troski i myśli o tym, że i dziś wiele pisanych historycznych źródeł nieustannie niszczeje. Jakież środki najskuteczniej zapobiega temu procesowi? A no — istnienie licznej kategorii badaczy - naukowców, dla których źródła owe, zakurzone papiery i pergamiны są radością oczu i życiowym umiłowaniem. Oni się zatroszczą o wydobycie ich ze schowków oblitujących w mysie dziury. Uczynią więcej jeszcze: z wartość owych źródeł opublikują drukiem, czyniąc je dostępnymi ogółowi.

Tę kategorię intelektualistów jest dziś u nas bardzo nieliczna. Proboszcz czy prowincjonalny nauczyciel, pracujący naukowo to bardzo rzadki ptak. Trzeba się zatroszczyć o to, by zaczęło być inaczej. Wszelka akcja do celu tego zmierzająca to też będzie upowszechnianie kultury i to w najprawdziwszym tego słowa znaczeniu.

Pawel Jasienica.

## W świecie...

### W FINLANDII

Finlandia w ciągu ostatnich kilku dni przeżyła kryzys polityczny analogiczny — tyle że miniatury — temu, jaki wstrząsnął i przekształcił powojenną Czechosłowację w lutym br.

W Finlandii członkiem Rady Stanu oraz ministrem spraw wewnętrznych był p. Irje Leino, członek partii komunistycznej, tworzącej wraz z kilku innymi ugrupowaniami lewicowymi Związek Demokratyczno-Ludowy. 19 maja br. sejm fiński zablokowanymi głosami prawicy wyraził wotum nieufności min. Lenino, w wyniku czego prezydent Finlandii Paasikivi, zgodnie z 36 paragrafem konstytucji fińskiej, przewidującej iż minister powinien posiadać zaufanie sejmu, zwolnił Lenino z zajmowanego stanowiska. Posunięcie to zostało uznane przez Związek Demokratyczno - Ludowy za próbę zamachu na republikę i na kierunek polityki współpracy ze Związkiem Radzieckim. Związek Demokratyczno-Ludowy zagroził proklamacją strajku powszechnego jeżeli partia komunistyczna pozbawiona zostanie mandatu ministra spraw wewnętrznych. W szeregu zakładów pracy wybuchły wcześniejsze strajki. Partie robotnicze manifestowały solidarność z min. Lenino. W rezultacie nader krótkiego kryzysu politycznego klucz partyjny nie został naruszony. Eino Tilipi dotychczasowy minister oświaty z ramienia partii komunistycznej mianowany został min. spraw wewnętrznych. A minister Leino pozostał w rządzie jako minister bez teki.

### DANCE MACABRE

Dance macabre w sprawie państwa Izraela i wojny w Palestynie trwa nadal. Arabowie najzupełniej zignorowali rozkaz Rady Bezpieczeństwa nakazujący zaprzestanie ognia i rozejm. Żydzi gotowi byli zastanawiać się i ze strony żydowskiej wydane zostały rozkazy przerwania w oznaczonym czasie ognia. Ognia nie przerwali jednak Arabowie i walki potoczyły się na nowo. Szczególnie ożywione działania trwały w samej Jerozolimie, gdzie po 14 dniach obrony Stare Miasto poddać się musiało Arabom. Nowe Miasto Jerozolimy jest całkowicie w rękach żydowskich. Na wszystkich innych odcinkach palestyńskiego frontu Żydzi utrzymują swe pozycje, polepszają je, atakując nawet silniejszych liczebnie, lecz słabszych uzbrojeniem, techniką walki i duchem żołnierskim Arabów. W Palestynie leje się krew, a ONZ ciągle radzi. Zbiorowe wysiłki ZSRR i USA nie mogą wobec oporu Wielkiej Brytanii doprowadzić do uchwalenia rezolucji potępijącej napasę Arabów i ustanawiającej sankcje karne ze strony narodów ONZ wobec Arabów. Wydarzenia ONZ są po równy świadectwem antagonizmów między narodami anglosaskimi, jak dowodem wpływów politycznych Wielkiej Brytanii, na konicę — bezwzględności polityki brytyjskiej. Tymczasem USA nie przestaje swych gestów przyjaźni wobec „Izraela”. Prezydent Weizman przyjęty przez Trumana otrzymał obietnicę 100 milionowej pożyczki, Marshall wystosował list.

BRONISŁAW KAMIŃSKI

## Podróż przez miasto

Rozgniony każdym z płomieni, jak ptak rozkwitły piórami,  
jak skrzydła palce przykładam do zdarzeń,  
i niszczeję od tysiąca uniesień i panik,  
choć kamień spoczywa na mojej twarzy.

Wyrwaj mnie ze splotu pożądań;  
miasto zmienione na pożar i burzę,  
obrzydłe nasienie zarazy i trądu,  
kwitnące kurzem.

Na dnie mojego wołania jest beton i cegła,  
zimny i twardy dotyk;  
Moja głowa jak zatopiony żeglarz  
przelatuje po zgrozie, jak barwny motyl.

OFIARA złożona na Katolicki Uniwersytet Lubelski

Konto P.K.O. II-153 w Lublinie.

to wyraz troski

Konto P.K.O. II-153 w Lublinie

o ideały naszej młodzieży

## NASZ CEL

Wyjątek z pracy ks. Kapelana Konfederacji Narodu i Oddziałów Uderzenia AK O. Pawła.

Przyjaciele moi!

Zespół utworzyć — oto był nasz cel.

Zespół ludzi posiadających „myśl o Polsce” i urabiających w sobie odpowiedzialną tę myśl „wolę Polski”. Zespół ludzi, „obywateli całego świata” według określenia Mochnackiego, a znających mimo to i właśnie dlatego „wielką rzecz” Polski, wiążących się właśnie dlatego ramami zespołowymi, by ją jako całość zrealizować.

Nie rościliśmy sobie pretensji, że będziemy pierwszym tego rodzaju zespołem. Nie myśleliśmy nigdy o tym, że będziemy zespołem wyłącznym i monopolowym. Nie zdawało nam się, że będziemy ostatnim zamykającym dzieje i rozwój.

Chcieliśmy być jednym z wielu. Z wielu podobnie myślących i podobnie działających. Z podobnie się osrodzkujących i w pokrewne środowiska dojrzewiających.

Ale tym jednym chcieliśmy być. Być — nie wydawać się, być. Chcieliśmy być zespołem jednostek wykrywających w sobie wolę i myśl — dla Polski — na współczesny etap jej dziejów.

Mysł i wolę! Uparliśmy się przy tym. Mysł i wolę — ale obie w urobieniu już zespołowym, nie wyłącznie jednostkowym: odgadliśmy bowiem ciężar gatunkowy i wartość „istoty społecznej” w każdym z nas. Odgadliśmy wartość zespołowego, społeczno - dziejowego działania w niewystarczającej w samej sobie jednostkowości każdego z nas.

Oprócz zaś chcieliśmy — zarówno domową myśl, jak i kuźnię woli — o twardej kości, założeniach filozoficznych, by tak granity „rzucić pod tęczę” naszych przysłowiotwórców literackich uniesień. I rdzeń żywoty chcieliśmy wstrzyknąć w ten kości, rdzeń nieprześcignionego po dziś dzień „morale” nauki Chrystusowej. Chcieliśmy, by myśl nasza i wola urastały polskie, karmiły się Polską na każdy dzień, wertowały wszystkie jej dziedziny, zarówno polityczną, jak i gospodarczą, jak przede wszystkim kulturową. Innego wejścia w tworzącą się rodzinę wszechnarodów nie chcieliśmy znać.

Świadomie i bez oglądania się na urażone ambicji własne chcieliśmy jednostkowość swoją włączyć w twarde spójnie tego, cośmy określili mianem zespołu, by tak dzwignąć się do wyżyn, na które byśmy, sami sobie zostawieni, nie byli się dzwignęli nigdy. Chcieliśmy dokazać tego, co jest najtrudniejsze, dla wszystkich egoizmów i każdego z nas, to jest wyjść poza siebie, wyżej własnej cieśni i złąć się w wielką całość, w wielki układ zhierarchizowanych części, w „wielką” ponadjednostkową „rzesz”, która przerastając każdego z nas, miała stać się naszym właściwym kształtem społecznym, naszą społeczno-dziejową postacią. Tak pojmowany zespół był naszym celem.

Dnia 6 czerwca, w piątą rocznicę śmierci, o godz. 11 w Kościele Zbawiciela odbędzie się Msza św. za duszę

ś.p.

Wandy z Patzerów  
KOPCIOWEJ

na którą zapraszają

Mąż, córka, synowa, zięć i wnuki.

Fragment historii jednego z oddziałów partyzanckich „Uderzenia”, ściągniętego rozkazem dowództwa ze swego rejonu działania do Warszawy i następnie przetruczonego pościgiem niemieckim w inny rejon, gdzie niezbędne było dostarczenie posiłków i broni.

Redakcja.

Mieszkanie pożyczylimy mi zaci kuzyni na kilka tygodni ukrywania się w Warszawie.

Mieszkanie było w świetnym punkcie: okolice Dworca Głównego, czwarte piętro, dwa wyjścia, kamienne akustyczne schody, okna na podwórzu i ulicę, dozorca, p. Antoni — „swoją człowieka”. Lokatorzy — znajomi brydżowi gospodarzy — otaczali mnie należnym konspiratorowi szacunkiem i pełną aprobatą dyskrecją. Nikogo nie dziwił mój oryginalny tryb życia, a w sąsiedztwie, gdzie zostawiałem klucz od drzwi (przezornie wykluczając zgubę tak cennego przedmiotu) odprowadzała mnie każdego ranka para modrych oczu. Wieczorem, gdy wracałem córka Pani Mamy wręczała mi kluczowy depozyt z westchnieniem spełnionego obowiązku i uśmiechem: Nie damy się.

Hej! czwartopiętrowa sielanko! Gdzie twój liryczny finał?

Niespodzianka jaką zgotowałem tej szlachetnej kamienicy, przechodziła najbardziej patriotyczną fantazję.

A było to tak

Łaziliśmy już kilka tygodni pod Warszawą. Oddział był doborowy. Kadre jego stanowili ludzie drugiego roku w partyzanckim rzemiośle szkoleni. Dobieranie ochotników szło opornie: mało który z kandydatów wytrzymał co nocne marsze w nieznanym, wyszukiwaniu nieprzygotowanych kwater. Ciagle nowy teren nękał piekielnie zmęczonych ludzi ciągłą i nową niepewnością. Wielokrotnie rozładowaniem napiętej atmosfery była walka. Wyniszczającymi najbardziej były dni ostrego pogotowia w czasie ocierających się o naszą kwaterę obław. Takich dni w podwarszawskim skradaniu się było wiele. Wtedy to oddział topniał do stanu 20 ludzi. Zostawali starzy, niezawodni weterani z białostoczczyzny. Łącznicy z bazą w Warszawie wciąż nie przywozili rozkazu wejścia do miasta.

Zima dawała się we znaki. Na śniegu zapisywaliśmy śladami każdy marsz. Księżyc jak na złość nie przestawał być w pełni: widno było jak w dzień. Była to zima z 43 na 44 rok. Niemcy byli silni, nauczyli ich ostrożności nasi poprzednicy: nie było już niemal posterunku, który nie byłby atakowany. Działając zawsze poza granicami Generalnej Guberni — nie mieliśmy pod Warszawą własnych punktów, a miejscowej organizacji bądź nie zdążyliśmy uprzedzić o zmianie miejsca postoju, wędrując co noc kilkanaście kilometrów, bądź dochodziliśmy na podany punkt przedzie, niż wysłany meldunek, uprzedzający nasze przyście. Wsie były już uzbrojone, z magazynów broń rozdana, a ludność zawsze gotowa do walki z grasującymi w tych stronach bandytami. Często — gesto zdarzało się, że nim zdaliśmy się przedstawić, co bardziej krewcy amatorzy przestrelania przydzielonego stena często witali nas niezadowolonymi seriami. Nie zostawialiśmy im dłużni, strzelając Panu Bogu w okno, po czym najbardziej chyży uderzeniowiec, specjalnie lekko ubrany, odstawiał karabin i doganiał jakiegoś marudera z cofającej się tyraliery. Takiego jeńca, gdy się już dosyć natrzył na nasze mundury i nastuchał partyzanckiego wymyślenia, odsyłaliśmy do ciemniejszej pod lasem kupy towarzyszy, by wytłumaczył, że jesteśmy także „Wojsko Polskie”. Najbardziej zakłopotane przeprosiny bojowych synów gospodarskich nie mogły nam powetować dodatkowego 10-cio kilometrowego marszu, ponieważ na miejscu strzelaniny nie mogliśmy zostać. W dodatku, że podchodzili do nas już bez broni. Wszy-

scy uzbrojeni tylko — psiakrew — w kije.

— Broń palną?

— Miał tam jeden, ale już poszedł do wsi spać — zgadzali się wszyscy.

Na nowe m. p. dochodziliśmy o świcie. Kwaterę należało zająć bezszelestnie. Zakneblować pysk psu, który zaraziłby całą psią brać większą ujadaniem, uporać się z gospodarzem, nierządkiem siekierą broniącym drzwi i okien i babcią, która zajmowała posterunek przy okienku na strychu, wzywając pomocy sąsiadów. Do tego celu służył śnieg ugniatany w kulę. Wszyscy odstawiali broń pod chałupę, zdejmowali plecak i śnieżkami zwalczali babcię na strychu. — Dobrzy to byli ludzie. Chwaliliśmy gospodarza za dzielną obronę przed bandytami, a babcię za silny głos. Nigdy nie chcieli wierzyć, że przecież wcale się na nich nie gniewamy Chcąc nam nagrodzić prowadzili nas do znajomych lub krewnych, w kierunku naszego marszu. Dawaliśmy prowadzić się chętnie. Było nam bowiem obojętne gdzie pójdziemy: czekaliśmy wiadomości z Warszawy.

Aż wreszcie przyszedł rozkaz: za trzy dni przetrucić oddział z bronią do Warszawy.

Bardzo było dziwne to przetrucenie. Ale to już opowieść inna: wróćmy do mieszkania.

Stało się ono po tygodniowym koczowaniu w Warszawie, miejscem koncentracji ludzi z tego oddziału. Było bazą, z której mieli wystartować do przetrucenia — stokroć poważniejszego: dwieście kilometrów w niemieckim pociągu, przebrani za ochotniczą brygadę organizacji Todt.

Wypożyczyli w fałszywe dokumenty i całą broń oddziału zapakowaną w paczki, z pilami (w tym celu kupionymi), siekierami i łopatami mieliśmy stanowić ekipę wyjeżdżającą na roboty przyfrontowe. Pachniało to diabelnym ryzykiem. Nikt się nie zastanawiał, jak będziemy jechać, tylko jak będziemy się w tym jadącym pociągu bić. A najważniejsze kiedy nastąpi wyspa. Większość twierdziła, że już na Dworcu Wschodnim.

Ja uważałem, że wcześniej,

Z wyrzutami sumienia myślałem o swoich kuzynach, którzy pożyczylimy mi mieszkanie. Obok był posterunek gra-

nowej policji, a tu trzeci dzień podjeżdżały pod bramę dorożki, z których jednolicie w szare kurtki ubrani dżentelmeni taskali na czwarte piętro worki z wojskowymi płaszczami (odrywaliśmy od nich później guziki i patki przerabiając je w ten sposób na todtowskie), puszkami po ogórkach z granatami i walizki z amunicją. Ostatniego dnia na Śniadeckich ładowana była drynda z karabinami i erkaemami opakowanymi w trzonki od łopat. Charakterystycznie ubrany młodzieniec podając ulicę zaważał się przy numerze domu. Sympatyczny salata uśmiechnął się rozbrajająco, przyrnużył oko i poufnie dokończył: Pod trzeci Tam już trzy dni dryndami zwozą takie paki”.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu z zachowaniem wszystkich środków ostrożności zaczęła się koncentracja. Przeszedłem ostatni.

Mieszkanie było zamienione na fortecę. Przy drzwiach urzędował z pistoletem maszynowym podoficer służbowy, w przedpokoju z wycelowaną lufą stał karabin maszynowy, pod oknami spacerowali wartownicy między puszkami pełnymi „filipin”, iedenokilowych granatów. Reszta trzydziestu osobowego towarzystwa, bądź odzywała się ciastkami i kiełbasą, bądź zebrała w rozwieczonych po gabinecie i salonie „ciuchach”. Broń była już wyczyszczona; niektórzy więc grali w karty, inni okupowali łazienkę Palili oczywiście wszyscy.

Jeszcze raz wspominałem moich drogich kuzynów.

Przygotowania trwały całą noc. Najważniejszym było posortować i podzielić komplety map. Rozpracować trasę na najbliższe kilka dni marszu po wyjściu z pociągu. Mielismy „wysiąść” w terenie, ściśle obsadzonym przez niemieckie oddziały, by trzema nocnymi marszami przedrzeć się przez tę zaporę i dołączyć do reszty grupy. Był 21 luty 1944 rok. Następnego dnia o piątym rano opuszczamy nasze śródmiejskie m. p. i jedziemy na Dworzec Wschodni. Tam o 6,15 ma na nas czekać d-ca przetrucenia mjr. „Borek” z autentycznym Niemcem hauptmanem Todtu, zwanym z racji niebywałe tuszy i przepiętego oblicza — „onklem”.

„Onkel” było to niezwykle pocziwe szwabisko, które za ciężko zdo-

# Mijają rocznice

Ryszard Reiff:

bycie na jego rodakach pieniądze przewoził transporty „geistów” (duchów). Będąc stałym transportführerem prawdziwych niemieckich i obojętnych czy przymusowych ekip Todtu, od czasu do czasu dorabiał przewiezieniem partyzantów na fałszywe papiery, z którymi jedynie ustalał gdzie mu znikną.

Twierdził przy tym zawsze, że jest szlachakiem, a to ani Polak ani Niemiec. Znał trochę polski: szczylił się Krzyżem Powstańców Śląskich, i Virtuti Militari.

A w ogóle był prawie zawsze pijany i to było w nim najsympatyczniejsze. Tym razem jednak, gra szła o grubą stawkę. Dotychczasowe dematerializujące się transporty nie przekraczały pięciu ludzi. Teraz gdy dowiedział się, że ma przewieźć sześć dziesięciu długo opierał się pokusom szleszczących papierków. Ostatecznie jednak uległ. Nie wiedział tylko nieszczęśliwy, że tym razem będzie transport uzbrojony. Nie wiedział również, że sześćdziesiątka ta, to w połowie asy warszawskiego „kedywu”, wykonawcy największej ilości wyroków, zabijaki z Gór Świętokrzyskich od Ponurego i zrzućkowice — komandosi, a w połowie to trzydziestka partyzantów „Uderzenia”, dochrapujących w tej chwili ostatnich minut odpochnięcia przed marszem.

Komandosi mieli wsiadać na Dworcę Głównym. My — na Wschodnim. Do dworca była godzina drogi. Pociąg odchodził o godz. 6.30.

Czas wstawać. Pobudka! Nie wielu trzeba było budzić: na ogół chłopcy nie spali. Kilku tylko rozwalonych na znak z bławartymi ustami i sponocnymi twarzami chrapało nieudolnie.

Inni gawędzili: jedni poważnie, drudzy nadrabiali sztuczną wesołość. Niektórzy coś majstrowali i szyli (trudno: w najlepszym oddziale tacy się trafiają). Reszta bezskutecznie starała się usnąć. Takich było najwięcej. Leżeli z zamkniętymi oczami i myśleli. Może przypominali sobie jak wygląda Dworzec Wschodni? Którzy należą się wycofywać w razie draki? Każdy wiedział, że naszymi fałszywymi papierami nim pociąg ruszy nie można się legitymować. Roszy mieli nadzieję na ów ciężarowy samochód, który miał do odejścia pociągu czekać na rogu Kijowskiej. Ale takich naiwnych chyba nie było. Wa-

## Małgorzata

Iwanicka Maria 1917 — 1943, porucznik A. K. Poległa pod Okólkami dnia 15 sierpnia 1943 r., podczas walki z Niemcami, oddziału partyzanckiego Uderzenia pod dowództwem poległego w tej samej walce por. Pawłowskiego. Oboje odznaczeni pośmiertnie Krzyżem Walecznych rozkazem Komendanta Głównego A. K.

Wstąpiła w szeregi armii podziemnej w r. 1939, pracowała jako łączniczka okręgu Lublin do roku 1941. Następnie poświęciła się pracy wychowawczej i szkoleniowej, organizując Służbę Kobiecą Oddziałów „U”.

Kim była Małgorzata?

Gdyby powiedzieć, że była dwudziestokilkoletnią studentką Politechniki Warszawskiej i że nie było odcinka życia społecznego, na którym by nie mówiono głośno o niej — byłoby to za mało. A gdyby powiedzieć — jak to czyniły dziewczęta z konspiracji — że po prostu była „naszą świętą” — może by to było za dużo. Na pewno była jedną z najcudniejszych postaci kobiecych ostatniej doby. Na pewno.

konań i szlachetności ideałów. Kochał ją — kto wstąpił w krag jej zespołów i bliższego otoczenia. Imponowała — bez imponowania — wszystkim.

I nie to było wielkim w niej, że umiała pójść na „akcję”, tak jak chłopiec by szedł bez trwogi i czwemu pełna. Nie to było wielkim w niej, że ścigana tropiona, a nawet przychwytała, umiała mu się wymknąć i wydrzeć opłotkami, nocami i brawurami — bo takich niewiast było tysiące w stolicy i w kraju. Ani to było w niej wielkim, że sama, nie mając co jeść i nie mając gdzie spać, sama ukrywając się w lokalach niejednokrotnie już „spalonych”, i znanych tropicielom — myślała nie tyle o sobie, ile o drugich, otaczając ich bezgraniczną wprost pieczołowitością jak matka — bo wszystkie organizacje podziemne takie właśnie posiadały łączniczek, takimi żyły i takimi jedynie stały. Ani nie można za wielkość jej wdzięku poczytać tak charakterystycznego dla niej epizodu, kiedy to w zimny, grudniowy dzień, w godzinach dobrze już popołudniowych, w

ubranu jak zwykle wiatrem podsztytym, zapytana o to, czy zjadła śniadanie, stanęła na pół się uśmiechająca, na pół zakłopotana i dopiero pod presją silnych nalegań odpowiedziała: Nie. A potem jakby chcąc wytłumaczyć się z winy dodała jeszcze dziś nie byłam u Komunii św. — bo niejedną taką duszę posiadała Polska.

Wielkim w niej było to, że umiała wszystkie te sprawy w sobie godzić. Tak harmonijnie i tak po prostu, tak całkiem naturalnie godzić i pogodzić. Ze zdołała połączyć w sobie te trzy zda się nie do połączenia — zwłaszcza w kobiecie — rzeczy: głębię i system myślowy, aktywizm życia politycznego i przenikającą wszystko na wskroś rozumną religijność.

Ze umiała pozostać przy tym wszystkim całą kobietą, całą sercem, całą płonącą uczuciem i całą czynem, całą poświęceniem.

Gdyby właśnie nie ów niedościgniony szlak jej stawań się.

Gdyby nie przeznaczanie, rola jej i funkcja byłaby obok dzieł Zyberk-Platerówny, czy Puzynianki. Gdyby dobiegała była czasów pokojowych, byłaby stanęła na gruncie Warszawy kobietą - filozofem, tak

# walk partyzanckich

## karta z pamiętnika

żyli swoją gotowość do ewentualnej walki, z której mało było szans wyjścia.

Do!... Modlitwy!

Teraz już każdy wiedział, że zaczyna się wielka gra. Nie ma miejsca na wspomnienia. Przyszłość nie jest jasna, przezryste minuty.

Ojcze nasz, któryś jest...

Słowa płynęły wolno, wyraźnie. Była w nich żarliwość ludzi, którzy chcą je słyszeć. Wymówić je, by usłyszane wróciły i zostały. By z nimi pójść.

Pol... Modlitwie!

Zawrzało. Było jeszcze zupełnie ciemno. Zrobiło się mimo strasliwego odoru gęstwiny ciał i przepocowanych mundurów przejmująco zimno. Dowódcy z trudem opanowywali dzwoniące zębów komenderując przygotowaniu do wymarszu.

— Melduję posłusznie zostało czterdzieści par skarpet, 11 par kałesonów i 7...

— Zostawić, mówię wam raz jeszcze osły jedne nie napychać tak majdanów, bo i tak nic nie dowiedziecie.

— Panie poruczniku jest jeszcze luzem 40 granatów.

— Macie tu 4 puszkę po marmoladzie, poukładać po 10, nakryć lekko denkiem.

— Kto mi do cholery karabin wciąga przedstawia? Czego szukasz bucu jeden?

Paczki z bronią stoją pod ścianami, opakowane w szary papier, z pod którego niewinnie wyglądają łopaty i pily.

Uwaga! pierwsza grupa wychodzi!

Biedna poczciwa kamienico! Te cztery pietra, kamiennych akustycznych schodów i te trzydzieści par podkutych butów! To małe podwórko i ten tłum obdartusów, najdziwniej poubieranych, grających już rolę pół-piiancy zgrai todowskiej! Te lufki otwierane i zamykane z impetem! Ten dozorca — Pan Antoni, swój człowiek, któremu ręka z kluczem tak dygotała, że nie mógł trafić w dziurkę od zamka, żeby otworzyć nam bramę. Dopiero ktoś dobrotniwie mu ją właściwie nakierował — i tak wyleźliśmy.

Była 4.30 rano. Ulica nas cokolwiek onieśmieliła. Mielśmy udawać Niemców. Władający niemieckim przesadnie głośno i niegrammatycznie, z wdzięcznym słowiańskim akcentem i bez przekonania, wymieniały jakieś banalne uwagi. Takie było ich zadanie przez całą drogę. Temat jednak rwał im się nagle i zalegała kłopotliwa cisza. Słychać natomiast było szczone nerwowe przynaglania:

— Gadajcie do cholery, co nie macie o czym? Idziemy jak stado baranów.

— Na rzeź, panowie, na rzeź.

Do pl. Starynkiewicza było niedaleko. Stamtąd dalej tramwajem na sam Dworzec Wschodni. Mielśmy szczęście. Złapałiśmy 25. unikając spotkania z kilkunastoosobowym patrolem żandarmerii, który w bojowym szyku maszerował po dwóch stronach jezdni. Zeslizgnęliśmy się po świetle ich latarek.

W tramwaju część odzyskała animusz. Jechaliśmy szybko prawie pustym wozem z rzadka tylko przystając. Ilość mówiących po niemiecku gwałtownie wzrosła: każdy recytował znane sobie niemieckie słowa starannie dobierając akcent. Granicą naszej butności okazały się okienka bileterów przy przejściu na peron dworca. Polscy konduktorzy odmówili przepuszczenia nas bez biletów, kierując do przejścia dla wojska, w których czuwali Niemcy. Sytuacja stawała się z sekundy na sekundę nieprzyjemniejsza. Staliśmy skonsternowani popielniąc najgorszy błąd — zaczęliśmy radzić. W tej chwili przyjechał następny tramwaj, z którego wyskoczył mł. Borek. Zorientował się błyskawicznie w sytuacji. W luźnym todowskim płaszczu z hackenkreucem w klapie, wyglądał jak stu procentowy Niemiec. Mówił biegle po niemiecku. Zahuczał coś do ucha kontrolerowi, pocsunął mu pod nos jakiś marschbefehl i po chwili zaczęto nas liczyć w przejściu. Stan się zgadzał, panowie Niemcy zasalutowali. Stanęliśmy na peronie. Pociąg miał nadejść za 15 minut.

Dworzec pełen był Niemców. Między uzbrojonymi po zęby (konstatawaliśmy to bez entuzjazmu) szeregiami żołnierzy oczekującymi pociągu na front wschodni, przechadzały się trzysobowe, strojne w blachy na piersiach, patrole feld-gandarmerii. Legitymowały co nieraz jakichś błędzących oficerów, obserwowaly apatycznie wyładowujące się transporty rannych i urlopowiczów. Jeden taki krążył niedaleko nas. Obserwowaliśmy w napięciu trzy lśniące kaski, migaące ospale w masie żołnierskich furazerek. Wypłynęły wreszcie na sąsiedni peron. Przystanąły. Zobaczyły nas. Porozumiały się między sobą. Poczęły wolno ku nam maszerować.

Pięciu ludzi z erkaemem wysunęło się dyskretnie na prawy wyłot peronu. Reszta rozsunęła się wzdłuż peronu. Niemcy z sadystyczną powolnością

zblizali się. Hej, tatusiu, mamusiu. Zdaje się za chwilę będzie tu gorąco. Na dworcu było z tysiąc Niemców.

Co z tym samochodem? (Trochę dziecięcej nadziei). Lepiej jednak sprawdzić w kieszeni magazynek od M. P. czy dobrze podaje. Ktoś próbował być wesołym, ratować sytuację grą. Na to było za późno. Niemcy przechodzili już o kilka kroków od pierwszego. Stanowiliśmy grupę nieruchomych punktów w niemieckim ruchomym mrowisku. Patrol minął pierwszego z naszych. Maszerował dalej. Przy którymś w środku zatrzymał się. Jeden kask zaszargotał coś do pozostałych. Błysnęły zimnym cieniem uśmiechy. Pomaszerowali dalej. Poważnie i spokojnie wystukiwali obcasami metry swojej służby.

Odetchnęliśmy, a właściwie zaczęliśmy wydychać wewnątrz dreszcze. Przechodzili jeszcze kilka razy. Zachowywali się swobodnie — strach gdzieś ulotnił się. Tak mął pierwszy kwadrans. Pociąg powinien nadejść lada chwila. Na horyzoncie zamajaczyła góra czerwonego mięsa: to przyszedł nasz transportführer. Major podszedł do niego, wskazał nas, i poklepał go po ramieniu. Onkel był podenerwowany i patrzył pośpiesnie na nasze zmięte postacie. Zaczął coś nieprzyjemnie kontemplować. Major odwrócił jego uwagę jakimś opowiadaniem. Stary słuchał, słuchał, wreszcie ryknął wielkim śmiechem i zapomniał o nas.

Tak upłynęła godzina. Pociągu ani widu, ani słyhu. Patrzyliśmy na majora, który coraz częściej zerkał na zegarek. Zaczęły w nas odzywać wszystkie niepewności. Nie wyjedziemy do diabła z tego dworca? Minęła druga godzina. Major Onkla trzymał już niemal za rekaw. Stary wychodził z siebie. Wśród nas legła się panika. Przewidywaliśmy najgorsze: Wyspę komandosów na Dworcu Głównym. Lada chwila przyjadą wypadówki po nas. Czulo się napięta do ostateczności konieczność działania: strzelać albo wiać. Lada chwila...

Nagle wjechał na peron oczekiwany pociąg. Z okien wyglądały gęby naszych „komandosów”. Rzeczywiście komplet twarzyczek, jak z gabinetu kosmetycznego. Zaden oddział leśny nie powstydziliby się takich buzi.

Wagon do którego ładował nas Onkel pełny był po brzegi. Niemcy ze wstępem zatraskiwali przed nami przedziały, tak, że musieliśmy ze swymi obrzydnymi pakami zagnieździć się na korytarzu.

Pociąg ruszył. Onkel nabrał kolosalnego rozmachu do rozmowy. Opowiadał z polską po niemiecku historię swych przewag wojennych, sukcesów miłosnych, przeplatając to wszystko tubalnym śmiechem i potężnymi łykami różnobarwnych płynów ze szklanki, o której już major myślał, żeby nie stała pusta. Z czasem Onkel z czerwonego zrobił się purpurowy, a opowiadań jego słuchała już trzecia zmiana, pomagając mu jednocześnie opróżniać niewiedomo już którą butelkę.

— Ausweis, bitte.

Małkinia. Niemiecka kontrola pociągu. Z obydwóch stron wagonu wchodzi po kilku gestapowców i grenschuców. Wpadają wprost na naszego Francuza Maxima.

— Ihre Documenten?

— Ich hat nicht, wir haben alles...

— Was ist hier?

Sięga ręką do paczki. Maxim wybuchł w naszą stronę:

— Merde. Qu'est ce que lui dire?

Atakowany nieborak bezradnie rozgląda się zaciskając w kieszeni Walthera H. P., dziewiątkę, wzór 38. Komuś przychodzi genialna myśl:

— Transportführer! Transportführer!

Krwisty Onkel wytacza się z przedziału. Widać jest tu częstym gościem bo zna wszystkich. Heil Hitler! Wita się z pierwszym, dostrzega następnego, potrząsa jego łapą jeszcze wylewnie.

Sprawdzają mu papiery powierzchownie, pytają co za paczki. Odpowiada, że wyjątkowo ten transport dostał przydział narzędzi w Warszawie. Wychodzą. Na peronie stoją i zw. „czarni”, bahnschuce z psami. Wiedziałem, jak taki pies wrywał kawałami ciała kobiecie stojącej na stopniu.

Jedziemy dalej. Jakos poszło szczęśliwie. Nabieramy otuchy, która jednak prędko ustępuje miejsca zdenerwowaniu. Jakim nieważnym wydał się ten etap, teraz gdy mamy przed sobą przesiadkę.

Zdenerwowanie zaczyna udzielać się wszystkim. Rosnie z godziny na godzinę. Coraz częściej słychać nieostrożne odezwania. Papier na paczkach zaczyna nieprzyzwoicie oblepiać się, odcinając wyraźnie kształty karabinowych zamków. Z jednej paczki wylała cała lufa. Gdzie indziej błyska muszka. Okrywamy to wszystko troskliwie. Krzyżują się złe, krótkie przekleństwa.

Onkel z purpurowego stał się karminowym. Śpiewa skoczne piosenki. Rozpiął pas i sapie. Pracuje przy nim znowu pierwsza zmiana pijących. Siwa czupryna podryguje mu do rytmu pociągu i brzucha. Jesteśmy o kilka kilometrów od Białegostoku. Dochodzi południe. Nagle stojący przy oknie Maxim odwraca się gwałtownie. Jest blady. Z trudem coś mówi. Macha ręką by wyjrzeć: Po obu stronach toru stoją w odległości kilkudziesięciu metrów jeden od drugiego żandarmi z bronią gotową do strzału. Zrozumeliśmy. Jesteśmy w zasadzce. Skąd mogli się dowiedzieć? Kto wsypał? Jakie licho podkusiło nas do takiego przerutu. Czyż nie bezpieczniej było maszerować? A oto jedziemy teraz zamknięci w pędzącej trumnie tego wagonu. Wiadomość o obstawionym torze zelektryzowała wszystkich. Nie było wątpliwości: oczekują nas. A teraz decyzja: co robić? Skakać w biegu, czy zahamować pociąg i próbować przebić się póki jeszcze trochę lasu dokoła.

Wjechaliśmy na dworzec. Onkel gdy zobaczył co się święci zamienił się w fiolet. Miał minę tak rzadką, że odruchowo pociągnąłem nosem. Naprzeciw nas stała grupa wysokich oficerów SS i wyposażonych cywilów ze schmeisserami na plecach. Wszędzie szpalery żandarmerii. Ani jednego Polaka. Nawet Ukraińców — bahnschuców nie było. Boże, kiedy się wreszcie zacznie. Pierwszy strzał, na litość, niech ktoś wreszcie strzeli. Mądrze czy głupio — wszystko jed-

no. Było można było rozpruć te paki, otworzyć puszkę z granatami i próbować się ratować. Po prostu ratować. Nie o to właściwie chodzi. Po prostu zrzucić z siebie tę przysnającą maskę, wyzwolić sprężony ruch: Biec, padać, razić ogniem i być rażonym. Przerwać tę ciszę. Oswobodzić uciśniętą całą wolą nerwy.

Staliśmy trójkami otoczeni całą czeredą żandarmów. Zatarły się gdzieś rysy twarzy: byliśmy wszyscy jednym grymasem, lub raczej ciszą napiętej struny. Nasze skąpe i odmierzane ruchy nie były jednak nerwowe. Taki śmiertelny spokój daje beznadziejna sytuacja. Trzepocące się myśli zaczęły pracować normalnie. Ręce okrywały obnażone części karabinów niesionych w paczkach na ramionach. Nie było miejsca na żadne podniecenie. Staliśmy nie tyje wobec niebezpieczeństwa, co wobec pewności jakiejś niesamowitej rozgrywki. Każdy wiedział jak będzie walczył, wiedział co zrobią pozostali. Szaro - siny Onkel mamrotał raz po raz: Was ist den los?

Przedefilowaliśmy przed niemieckim sztabem. Spojrzeń tych ludzi nie można opisać. Odprowadzili nas w róg hali dworcowej. Obstawili pistoletami maszynowymi. Czekaliśmy.

Trwało to trzy godziny. Napięcie ustępowało znużeniu. Była blisko czwarta po południu. Przypomniałem sobie — stacyjkę, na której mieliśmy wysiadać. Biwakowałem o dwa kilometry od niej w lipcu 1943 r. Czekaliśmy na inny oddział: nie doszedł.

Później wiele partyzanckich tarapatów. Wreszcie Warszawa i znowu wyjazd. Coż, nie pisane nam było...

Aufstehen, robiata. Wstawać.

Onkel stał nad nami uśmiechnięty całą gębą. Na dworcu skończyło się ostre pogotowie. Jak się okazało jakiś wielki dygnitarz niemiecki przejechał przez Białystok. Poleczał już dalej. Onkel twierdził, że to Hitler. Wytrzęźwał z wrażenia zupełnie. Uśmiecha się przekrwionymi białkami. Maszerujemy z nim do kantyny. Platfusowate schweater podają nam jednogarnkową żołnierską zupę. Staliśmy przy długich stołach. Przy innych siedzą Niemcy. Połykają z apetytem arcyobrzydliwą papkę.

O czwartej wyjeżdżamy dalej. Jeszcze jedna przesiadka. Teraz już dalej jedziemy sami, pasażerskim pociągiem. Onkel siedzi w pociągu jadącym z powrotem do Warszawy. Jest zadowolony: udało się. Pociąg jego odjeżdża. Kiwamy mu ręką. Rozlokowujemy się w jednym wagonie; delikatnie przygotowujemy rozpakowanie paczek. Jesteśmy bez żadnych dokumentów. Major chodzi po peronie i głośno wymyśla po niemiecku. To wzbudza szacunek wśród policjantów. Jest zupełnie ciemno — broń mamy przygotowaną. Jedzie z nami w kilku przedziałach trochę ludności cywilnej.

Pociąg rusza. Hurra! Jesteśmy w domu! Wygraliśmy! Na stacji końcowej może być najwyżej kilkunastu Niemców. Banda todowska przemienia się w oka mgnieniu w wojsko. Komendy krzyżują się w powietrzu.

— Kto ma zapasowy bęben do pepedy?

— Weź połowę amunicji erkmu, nie będę przecież wszystkim sam targać!

Po pewnym czasie — major poleca dobywać karabiny z paczek. Tego było już za wiele cywilnym, współtowarzyszom. Kobiety zaczęły spazmować: panoczku, a nie gubcie narodu, my nie winni, dajcie ludziom wyciąść, nie wysadzajcie pociągu. Ziocienki, Udalenki!

Stop! Nareszcie koniec. Wskakujemy wszystkimi otworami wagonu. Latarki kolejarzkie i żandarmskie gasną, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Pustawa stacja wydłubiła się całkowicie. Tyraliera ze spadłymi karabinami, piłami i puszkami po ogórkach pomaszerowała w las.

Ryszard Reiff

jak jej wielka poprzedniczka działająca sto lat temu na tym samym terenie.

Właściwą maksymą jej życia, maksymę, o której realizację walczyła bezustannie, można by ująć w tym jednym wyrazie: walka o „kształt”. Walka o kształt wszystkiego, czego się miała tknąć i czemu się miała oddać. Walka nasamprzód o kształt wewnętrzny w samej sobie. Potem walka o kształt i wyraz psychiczny młodego pokolenia polskiego. Wreszcie walka o kształt dziejowy dla Polski, jako całości. Gdziekolwiek była, obojętne, czy to niesiona świętym szalenstwem czynu konspiracyjnego, czy też tępiącym i zalewającym wszystkie dziedziny życia społecznego przedwojennym Ruchem Młodych, czy nawet jeszcze dorastając w zaciszu rodzinnym — wszędzie szukała kształtu, była godna kształtu i kształt chciała nadać. Była obdarzona jakimś dziwnym darem wyczuwania właściwego kształtu, odgadywała problemy i brakujące im kształty i szła je wypełniać.

szła budzić ich świadomość, szła nakłaniać wolę do krzesania tych kształtów w sobie i drugich.

I właśnie ona — ta, co walczyła o kształt — właśnie ona — Małgorzata — była jakby chaosem bezkształtu.

Ona, typ psychiki na wskroś nowoczesnej, psychiki obciążonej bez miary, nierozumiejącej samej siebie i walczącej ze sobą, jak z mechanizmem.

Ona — ze współczesnych sobie — mogła w pełni przetrawestować i do siebie, do siłch się własnego ducha rodzającego w sobie bohaterski kształt osobisty dostosować słowa „Genezis z ducha”, w których Slowacki odgadując na swój sposób wiekiłość prawdy o „pracującym w nas duchu” woła:

„O! Duchu mój, w bezkształcie, więc twój pierwszy związek była już myśl i czucie. Myślą przemysłiwieś o formach nowych, czuciem i ogniem miłości rozpalony prosiłś o nie Stwórcę i Ojca swego, a coś zdobył nimi w pierwszych

dniach stworzenia, tego ci Pan już nie odebrał; lecz uciskiem i boleścią do tworzenia lepszych form zmusił twój naturę i większą siłę z ciebie twórcza wywołał”.

„Z takich to prac wiekowych, o Duchu mój, z takich zwycięstw nad bezładem i burzą — jest pierwszy wieniec twój pierwsza twoja u Boga zastawa. Nie zapomniał Pan o dziełach twoich — owszem uszanował je i formy stworzone przez ciebie zachowuje, nie pozwalając nadal żadnej w nich uczynić poprawy. Płeczę trwałości swojej położył na zapisanej przez ciebie księdze...”.

Wyzwoliła Małgorzatę dopiero śmierć. Bohaterska śmierć człowieka z lasu! Przed nią raniony kula padł podchorąży Piorun i dowódca porucznik Pawłowski. Podbiegła z ratunkiem. „Poddać się” zawyla zgraża SS-manowskiego Jagdkommando. Chwytna za steno, który wypadł z raku rannego — i oddała serię strzałów. Taką miała odpowiedź. I tylko taką.

O. Paweł.

## Wiersze

Kazimierza Winkler-Augustowskiego  
MIASTO 1938

Już zaczął grać ten tam na czarnym fortepianie,  
gdzieś wysoko, u szczytu podwórza z asfaltu,  
wyjrzała zza firanek zadumana pani,  
przerwał na chwilę pracę krótkowzroczny buchalter

Już zaczął ten swój seans drażniącej muzyki  
biały wariat ze szczytu kamienicy śródmiejskiej,  
w domu tym nie mieszkał na szczęście żaden krytyk,  
w dole z szumem leciały autobusy niebieskie.

Całe szczęście, że mieszkał tak bardzo wysoko  
i że nerwowa pani z parteru już umiała,  
całe szczęście, że miał tylko jedno okno  
i że to był t. zw. nieszkodliwy wariat.

Oczkaże! parne popołudnia świąteczne.  
Kościół. Aleje. Kino. Gazety. Ciemne ubranie.  
Pisza! Anschluss! III Rzesza! A tam na którymś piętrze  
biały wariat gra ostro na czarnym fortepianie.

## TEN WRZESIEŃ

Rękę na telefonie z numerem straży pożarnej trzymajcie.  
Oczy do góry pomiędzy górne piętra podnieście.  
Samochody niech staną na skamieniałym asfalcie  
we wpatrzonym i wsłuchanym mieście.

Wierzę we wróżbę, na pewno się nie pomyśl!  
Ostrożnie, bo się od nerwów mury czerwono zapala  
jeszcze chwila, a usłyszycie jęklive wybie syren,  
a potem będzie cisza — oczekiwanie na naloć.

Ulice zostaną puste, dyszące wielką przestrzenią,  
bramy zapadni oddech, gnany atakiem serca,  
przy mitralieżach, na dachach — żołnierze pochyleni,  
nad nimi niebo słoneczne — a w niebie słońce i śmierć

Ach, wysyłajcie wzrok na dachach czuwający żołnierz!  
Niech godzin wrześnieowych sen omija was z daleka,  
i wy i wy przy zenitówkach, w wislane wparci wybrzeże  
nie długo już w cieniu hełmów i łuf będziecie czekać.

Słońce wrześnieowe leniwie kładzie się na kopyłach,  
gołębie sennym nalołem spływają nad Plac 3 Krzyży.  
W kościele św. Aleksandra złoto się modli: na stulach.  
Zegary na wieżach miasta dzwonią, że słońce najwyżej.

I właśnie gdy książdź biały szedł na słońcem odmłodzoną ambone,  
— taka słoneczna i straszna była ta wrześnieowa niedziela —  
spadły na miasto syreny przeraźliwe i opóźnione,  
a ślepe od słońca zenitówki zaczęły gwałtownie strzelać.

Ach, zapamiętaj ten huk wpatrzonej w niebo Warszawy,  
Tobie świeci dziś słońce i dla Ciebie jest przestrzeń niebieska,  
dzisiaj mija nowy dzień Twojej pogoni za sławą  
i za czarnymi cieniami nadlatujących eskadr.

Rozkrzyżowany w ulicach drży ciepłym miejskim asfalcem,  
nad Placem 3 Krzyży cienie bombowców i gołębi,  
z bram nadlatuje szepc — niech spadnie, niech się roztrząska  
i niech go zakopią pod ziemią jak najgłębiej.

Koniec. Skonieczone. I znowu rękę na telefonie,  
a wzrok na chmurach zachodnich oprzyj walcząca Warszawy,  
— na bruku, za oknami, ułańskie idą konie —  
czekamy, przecież był jeden dopiero naloć.

Wrzesień 1939 r.

## Matka Boska Leśna Kołyska z popiołu

Matko z zielonego ryngrafu,  
cicha Przewodniczko leśna,  
tych młodych chłopców ratuj  
na niebezpiecznych ścieżkach.

Kiedy o świecie zapomną,  
w żytach szukając chabru,  
przed zaskoczeniem obroń  
Różę pomyślnych wiatrów

Gdy sercem wrócą do domu,  
oparzą się o karabin,  
za przyszłość ich się pomódl,  
nie pozwól ranić lub zabić.

Gdy oczy chłopców zasnuwa  
po bitwie sen głęboki  
nad ich obozem czuwaj  
szeroko otwórz oczy.

Matki im zastąp dalekie,  
ukołysz w dawnych pieśniach,  
a kiedy przyjdzie jesień  
ogrzej ich, Leśna.

Gdzie dom był dawniej ciepły,  
matka pod abażurem,  
siostr małych śpiewne kolebki,  
lulajże, lulaj,  
tam wiatr wysoki śpiewa  
na mokrych pniach kominów  
jak na cienutkich fletach  
nut kilka o tym synu  
zgubionym i dalekim,  
raz tylko pisał stamtąd,  
nie wiem czy żyje, nie wiem,  
nie wiem czy jeszcze mam go.

Ten wiatr. W tym wietrze idę,  
chwieją się szopy ścian,  
jak teatralne liście  
szeszczą rude blachy,  
jesień na Starym Mieście,  
nikt nie wychodzi z bram,  
w ulicach wąskich i ślepych  
deszcz zmywa ślady żołnierzy.

To niebo oprawione w cegły  
miało wtedy ramkę z firanek,  
tęli niebieskawy i lekki  
gładził ostre linie barykad,  
gdy blade głowy ciężko rannych  
brały w ręce młode panny miejskie.

Gdzie dom był dawniej ciepły,  
gdzie matka pod abażurem  
i siostry w śpiewnych kolebkach,  
lulaj, Jezu, w popiołach lulaj.

## Stanisław Skorupka

## Nowy przekład Pisma Świętego

Nakładem księgarni św. Wojciecha ukazał się przekład Nowego Testamentu dokonany przez ks. Eugeniusza Dąbrowskiego, d-ra teologii i nauk biblijnych. Dobrze się stało, że ks. Dąbrowski swój nowy przekład dał do przejrzania — o czym wspomina w przedmowie — tak wytrawnemu znawcy polszczyzny, jakim jest prof. Uniwersytetu Warszawskiego, dr Witold Doroszewski, którego uwagi w barzo istotny sposób rozstrzygnęły o doborze wyrazów i form językowych. Niezwykle cenne przekłady Biblii na język polski mają już swoją tradycję i to dobrą tradycję. Utrzymanie tej tradycji zapoczątkowanej pięknym przekładem z wieku XV. (Biblia Zoffi), a kontynuowanym świętym i przez kilka wieków niezastąpionym przekładem ks. Wujka jest rzeczą niełatwą. Niełatwe jest takie unowocześnienie przekładu, aby język jego harmonizował z tradycją poprzednich przekładów, z nastrojem technicznym z tej tradycji, a jednocześnie nie odbiegał zbyt daleko od języka współczesnego. Trudności te wydaje się szczęśliwie pokonywać przekład najnowszy. Na dokładne omówienie całości pod względem językowym, gdyż ograniczam się do tej tylko strony przekładu, nie pozwala mi szczupłość miejsca, pozostawiam więc na ogólnych uwagach i na szczegółowej analizie jednej ewangelii, np. św. Mateusza.

W przekładzie swoim ks. Dąbrowski zachowuje utarte zwroty i wyrażenia archaiczne np. „miłujcie nie przyjaciół wasze“ (zamiast nieprzyjaciół waszych). We wszystkich innych wypadkach, tj. wtedy, kiedy archaizm jest niezrozumiały lub mógłby następczynie nieporozumienia, zastępuje go wyrazem lub zwrotem nowszym, zrozumialszym. Szusnie więc zmieniono: Beati mundo corde quoniam ipsi Deum videbunt (Mat. IV, 8), tj. Błogosławieni czystego serca albowiem oni Boga oglądają (wg Wujka) — na oglądać będą, gdyż dziś forma oglądają nie ma znaczenia futurum, jak formy czasowników dokonanych; zobaczają, obejrzą, ujrzą. Korekta to celowa i niezbędna. Lepiej pod względem syntaktycznym niż u Wujka, który trzyma się ściśle łaciny, oddano: esca autem eius erat locustae et mel silvestre (Mat. III, 4) — wg Wujka: a pokarm jego był szarańcze i miód leśny; miejsce to przełożono dobrą polszczyzną: a pokarmem były mu szarańcze i leśny miód. Zręczniej i mniej dosadnie choć i mniej dosłownie wypadło: Jesus... ascendens in montem sedebat ibi (Wujkowe: wstąpiwszy na górę siedział tam) — wstąpiwszy na górę pozostawał tam.

Wujkowe: „zebyście się nie sprzeciwiali złemu“ — zastępuje tłumacz: „abyście się nie przeciwstawiali złu“. Zastąpienie złemu przez złu wyraźniej i jaśniej oddaje treść werbetu, przeciwstawiali zamiast sprzeciwiali zrywa z tradycyjnym zwrotem, lecz lepiej oddają łać. resistere.

W modernizacji przekładu zachowano umiar, choć tu i ówdzie można by pozostawić nie rażące archaizmy np. zamiast „między książkami judzkimi“ (Mat. II, 6), mogłoby pozostać zgodnie z Wujkiem „między książkami Judzkimi“, lub, zamiast „a oto głos z nieba mówiący“ (Mat. III, 17) — „a oto głos z niebios mówiący“ (Wujek). W użyciu przymkłów przez i od nie ma konsekwencji. Na ogół częściej tłumacz modernizuje („przez niego ochrzczeni“, Mat. III, 67), niekiedy zachowuje archaiczne od („wiedziani od ludzi“, Mat. VI, 5). Zmodernizowanie składa ni i słownictwa cechuje podkreśloną już umiar i rozumny wybór. a

więc zamiast modlić się komu („modli się ojcu twemu w skrytości“, Mat. VI, 6 — przekł. Wujka), mamy modlić się do kogo („modł się do ojca twego“); stp. rybitwę (Mat. IV, 18) zastąpiono rybakiem itp. Czemu jednak następczynie nieporozumienia archaizmu Dzieje apostołskie odp. łać. acta apistorum (gr. praxeis nie zastąpiono zrozumiałym dziś dzieła (czyny, działania) apostołów, trudno się domyślić.

Niektóre modernizacje świadczą o innej niejako interpretacji tekstu niż to z tradycyjnych przekładów wynikało: „Beati pauperes spiritu“ tłumaczy Wujek: „Błogosławieni ubodzy duchem“ — ks. Dąbrowski oddaje to miejsce przez „ubodzy w duchu“, to zn. czujący się ubogimi w duchu, skromni, a nie: małuczy, prości duchem.

W związku z możliwością innej interpretacji tekstu powstaje pytanie, czy nie należałoby poddać rewidji, a tym samym i innym wyrazem oddać tradycyjny zwrot modlitwy: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“ (Mat. VI, 11). Zwrot ten nie odpowiada tekstowi oryginału greckiego: ton arton hamon ton epision łać. panem nostrum supersubstantialiem. Greckie epision, łać. supersubstantialis nie znaczy: powszedni, codzienny, a raczej niematerialny, pozasubstancjalny — chodziłoby tu więc o strawę duchową, a nie zwykły cieleb stanowiący nasz codzienny pokarm? W zapowiedzianym dużym wydaniu należałoby takie miejsca różniące się od oryginału wyjaśnić w przypiskach. Należałoby również objaśnić terminy niezrozumiałe jak np. prasa (Mat. XXI, 33).

Pozostaje do rozważenia jeszcze sprawa zasadnicza — sprawa stylu przekładu.

Jakie są granice archaizacji i modernizacji i jakie tu należałoby stosować kryteria. Kilka przykładów pozwoli nam zdać sobie sprawę z tego, jak kwestia jest delikatna, a zarazem trudna. Podniosłej i uroczystej niż u Wujka wypadły w przekładzie ks. Dąbrowskiego niektóre ustępy:

Vulgata: et cum venisset Jesus in domum principis (Mat. IX, 23).

Wujek: a gdy przyszedł Jezus do...

ks. D.: a gdy Jezus przybył do...

Vulgata: Filius quidem hominis vadit (Mat. XXVI, 24).

Wujek: syn człowieczy idzie.

ks. D.: syn człowieczy podąża.

Vulgata: male patitur (Mat. XVII, 14), gr. kakos ehei.

Wujek: źle się ma.

ks. D.: cierpi wiele złego.

Vulgata: edere.

Wujek: jeść.

ks. D.: spożywać (Mat. XV) lub wieczerać (Mat. XXVI, 21).

We wszystkich przykładach oprócz różnicy znaczeniowej synonimów użytych do oddania odpowiednich zwrotów łacińskich — np. przyszedł, to przybył pieszko, a przybył, to oprócz tego samego znaczenia, co przyszedł może znaczyć: przyjechał, przybył, zjawił się (w jakikolwiek sposób) — występuje różnica tonu uczuciowego. Wyrazy przybył w stosunku do przyszedł, podąża w stosunku do idzie, spożywać, wieczerać w stosunku do jeść: cierpieć wiele złego w stosunku do mieć się źle brzmią co najmniej o cały ton podniosłej, uroczystej. Niekiedy znowu ścisłość i poprawność formy psuje ogólny styl wypowiedzi np.: „Nie miejcie złota... w trzaskach swoich“ (Mat. X, 9) łać. in zonis vestris — to wypowiedź bardzo poprawna, ale ze względu na styl wypowiedzi Chrystusa lepiej było zachować mniej może poprawne, a natomiast bardziej charakterystyczne: „Nie miej-

cie złota... w trzaskach waszych (Wujek).

Pewne zastrzeżenia natury uczuciowej wywołuje oddawanie łać. magister w zwrotach do Chrystusa przez Mistrzu. Lepiej byłoby może tłumaczyć ten wyraz konsekwentnie przez Nauczycielu z uwagi na to, że wyraz mistrz w dzisiejszej polszczyźnie nabrał, w związku z rozszerzeniem zakresu znaczenia, lekkiego pejoratywnego odcienia uczuciowego (mistrz tańca, boksu, mistrz w skoku o tyczce, w pływaniu itp.).

Z drugiej strony w doborze synonimów oddających wyraz obcy nie zawsze czynnik uczuciowy powinien być wysuwany na plan pierwszy. Strona znaczeniowa i uczuciowa winny być zharmonizowane, zespolone, winny się niejako uzupełniać.

U Mat. XXVI, 47, czytamy w przekładzie Wujka: „oto Judasz, jeden z dwunastu przyszedł, a z nim wielka rzesza z mieczami i z kijami“. Werset ten lepiej wygląda w słownym ujęciu ks. Dąbrowskiego: „oto nadszedł Judasz, jeden z dwunastu, a z nim wielki tłum z mieczami i kijami“. Wyraz tłum lepiej tu odpowiada treści i nastrojowi wersetu.

Z porównania obu przekładów Wujka i ks. Dąbrowskiego w przytoczonych tu wersach można wysnuć następujące kryteria ogólne co do granic archaizacji i modernizacji przekładów Biblii:

1) Pozostawić można i trzeba tylko te archaizmy, które są zrozumiałe znaczeniowo i których forma nie jest rażąca, to zn. nie odbiega zbyt daleko od form współczesnej polszczyzny.

2) Wyrazy i formy archaiczne zupełnie niezrozumiałe należy modernizować. Modernizacja jednak form winna znaleźć swoje ograniczenie w nastroju całości: modernizować można formy o tyle, o ile całość na tym nie ucierpi i wręcz przeciwnie.

3) tam, gdzie treść tego nie wymaga, nie podnosić nastroju przez zastępowanie wyrazów prostych — podniosłymi. Ton bowiem podniosły opowieści ewangelicznych wynika z treści wypowiedzianej w sposób prosty, a nie z podniosłych wyrazów wypowiedzi. Dodatkowo, uroczysty nastrój potęgują archaizmy językowe, które zachowuje się w przekładach tradycyjnie. Nie należy więc tam, gdzie treść tego nie wymaga, uwznioślać prostoty słownego ujęcia wyrazami używanymi w stylu uroczystym.

Stosując te kryteria do przekładu ks. Dąbrowskiego musimy stwierdzić, że przekład ten, choć miejscami bardziej uroczysty od Wujka, jest pracą świadczącą o dużym talencie językowym tłumacza i o wyuczuciu przez niego granic archaizacji i modernizacji w przekładach mających ustaloną i bogatą tradycję.

Stanisław Skorupka

## Nowość

Jan Dobraczyński

„WYBRAŃCY  
GWIAZD“  
powieść

str. 304

zł. 800.—

KSIĘGARNIA

Zdzisław Gustowski

Poznań, ul. Wielka 10

Do nabycia we wszystkich  
księgarniach

Z ubocza

# Euterpe polityczno-wychowawcza

Należy do nielicznego grona zapóźnieńców w rozwoju dziejowym ludzi, którzy czytają w naszej prasie literackiej wiersze. Czynię to wprawdzie coraz rzadziej, ale mój przyjaciel twierdzi, że jest to pozytywną oznaką przechodzenia z epoki zmurowanego pięknołuchostwa i przebrzmiałego humanizmu, w epokę nowej, wspaniałej cywilizacji technicznej. Ale to całkiem inna para kaloszy, tymczasem ciągle jeszcze zaglądam między rytmy i rymy. Trochę z przyzwyczajenia. Dalekie to bowiem czasy, gdy pierwsze pisma przynosiły wiersze Miłosza, Przybosia, Putramenta, Ważyka, Zagórskiego i Jastruna. Prawda — zdarza się czasem, że tu i ówdzie pojawi się wiersz „starych”, „wypróbowanych”, ale właściwie jeden tylko Jastrun pozostał w pełni aktywny (w każdym razie ilościowo). Tempora mutantur — dobra epoka mineja, aurea prima, gdy czytało się doskonałe wiersze tudzież biadolenia, że młodych brak. Obecnie młodych już jest sporo, a dobrych wierszy coraz mniej...

Ale cofnijmy się trochę. Muszę dać mej gawędzie — mówiąc patetycznie — „podbudowę historyczną”. Wróćmy więc do sprawy dla felietonisty przebrzmiałej już dawno — do seminarium nieborowskiego. Wiem o nim niezbyt wiele — ot, był zjazd młodych adeptów literatury, którym starsza generacja dawała rady łagodne i państwowotwórcze. Było tam 90% poetów, 9,5% prozaików i 0,5% krytyków — naturalnie cyfry te odnoszą się do stanu ilościowego, nie jakościowego.

Na zebraniu tym zdarzyła się jednak rzecz dość osobliwa. Oto — wedle relacji Włodki w Dzienniku Literackim — Jastrun nawoływał do zastąpienia dotychczasowych przestępstw formalizmu w poezji rewolucyjnością treści. Było tam jeszcze coś o sile moralnej poezji i t. d., a więc rzeczy dobrze znane i właściwie najzupełniej słuszne.

W tym jednak momencie zaczęła się śmieszna historia: młodzi, na ciele których stanął Roman Bratny, zaatakowali bardzo ostro Jastruna i to jego własną bronią. Trudno właściwie zorientować się, ile w tym wszystkim było dyskusji, w której przeciwstawiano pseudoklasycznym bastionom Kuźnicy (Jastrun, Hertz, Radek) nowe zdobycze formalne, a więc to przed czym przestrzegał Jastrun w słowach o „Eluardzie w cholewach”? W każdym razie zabawiono się w cenzurowanie i młodzi wytknęli w brzydkim sposób swemu prelegentowi braki i niedociągnięcia w jego wierszach społecznych, naturalnie braki treściowe.

Pośmiałem się nieco. No, że przeciwstawiano poetyki — to całkiem zrozumiałe. Z jednej strony Pawła Herza „Sto wierszy o końcu drobnomieszczanina” — z drugiej naftaliną trąca awangarda. Przecież nie każdy potrafi uczyć się rzemiosła na dawnych wzorach, bez równoczesnego dowodzenia, że właśnie jego wzór jest jedynie skuteczny. Bo ostatecznie czym jest ten pseudo-klasycyzm, czy pseudo-awangarda? To przecież tylko środki, które należy przymierzyć do charakteru i rodzaju twórczości, a w końcu do własnych doświadczeń. I tak np. wśród młodych wybijają się wyraźnie Różewicz i Radek — formalnie najzupełniej różni. Zapewne — są jeszcze w ciągłym rozwoju i mogą spłatać niejednego psikusia, ale w każdym razie mają już za sobą niejedną tęgi wiersz i sądę, że jest to najzupełniej obójne, że jeden pisze „pod Przybosia”, a drugi „pod Boileau”. (Po-

pełniam tu świadome uproszczenie, ale nie o to przecież chodzi!)

Prawda! Włodek w tym samym artykule, wytknął Różewiczowi, że i on nie jest dość „społeczny”, ale wyraził nadzieję, że „może” i że „chyba”... Więc pewnie nie ma podstaw do obaw!

Ale jakże przedstawia się sprawa pozostałych? Czy rzeczywiście uspołecznili i upolitycznili swe muzy? Jakże wygląda ten wycisg pracy? Czy wykonano coś ponad normę?... sądę, że tak!

Zacznijmy od Bratnego, przecież jest w pewnym sensie przywódcą opozycji. Oto strofka z jego wiersza „Nadany z Paryża”:

Na tej wojnie poległo u nas 6 milionów ludzi,  
mnie, który ją przeszedłem boli  
i uwiera  
mały palec — kupiłem za ciasny  
półbucik  
w wesołej dzielnicy, w sklepie Jean  
Ottier'a.

A na zakończenie, może nie najlepiej formalnie, może nienajlotniej, ale w każdym razie nie tak źle.

Czemu wołałem polską wodę pić na wet przez więzienną z barłogu słomkę niż tu pić życie pełnymi haustami?

Wiem naturalnie czemu wołał polską wodę, to przecież tak ładnie... nie rozumie natomiast sensu słomki, ale mniejsza już — w każdym razie jest co przeciwstawić Jastrunowi! A teraz Andrzej Braun — kawałek „światopoglądówki” —

Być albo nie być. Ten stary świat musi mieć jakiś sens zaiste. Marx, Engels, wilgoć ścian barwami płacze,

zgnilizna nocy spada na spragnionych raj, kraje z lapis lazuli, kiedyż was zobaczę? uśmiechy, wstydlivość innego obczaju.

A pod koniec tegoż wiersza (nazwywa się DO JERZEGO — rozmowa w gronie przyjaciół):  
Za sto lat takich jak ja nazwa  
idiota,  
moje wiersze są tęczowe.

Wiersz zresztą bardzo mi się podobał. Bez hecy. Tylko, że nie bardzo wiem o co autorowi chodziło. No ale za sto lat, o ile się jego przepowiednie nie spełnią, to poloniści skomentują go i będzie spokój. Narazie wiem, że Antologia Poezji Francuskiej Ważyka odniosła doraźny skutek, bo Mallarme z Jacobem przyszli do nas na spacer, a że w Polsce bioto, więc tak trochę w cholewach...

Mógłbym przykłady mnożyć bez końca, ale i tak się rozpisalem zbyt obszernie. Niech wystarczą próbki z czołowego „ideologa” i jednego z lepszych (serio) młodych liryków.

Bo to z rewolucyjnością treści już tak jest... Mógłby przecież i Jaszcz pisywać wstępniaki aleksandrynem i rymami pełnymi, co by mu sprawiło jednak niejaki trudności, a potomnych najprawdopodobniej i tak nie zjednało, ale w każdym razie byłoby wiersze. Młodzi chcą lepiej. Młodzi chcą inaczej. I słusznie! — Tylko, że młodzi do nauki nie skorzy. Zrzędził KJWujcio w Odro-

zeniu, ale zrzedzeń słuchać nie należy. No i cała najmłodsza generacja tkwi w minionym dwudziestolecu, mierząc wszystko miarką Awangardy lub Skamandra. Przed tym było posepne i mroczne barbarzyństwo (Młoda Polska i Pozytywizm), a jeszcze dawniej... smutni Wieszczce i Kochanowski sterczą niby skały niedostępne w odmętach niezbadanych mórz. Prawdopodobnie Gałczyński jest ostatnim w Polsce człowiekiem, który czytywał, czy też posiadał „Horacjusza wydanie weneckie”... Trudno! A i tak dobrze, że wie się coś o tym dwudziestolecu — wprawdzie było to bardzo niedawno, ale jednak...

A potem płyną rzewne zawodzenia, że młodych się nie popiera, że czytelnik, cham zbudowany, nie czyta... Ja się czytelnikowi tak znów bardzo nie dziwię!

Prawowierci mogą teraz wrzasnąć — ot, reakcyjni! — Nie sądę. Wcale nie pragnę wierszyków o nastrojach i pejzażach — wręcz przeciwnie, gdy mam wolną chwilę, sięgam po Miłosza i zaglądam do „Głosów biednych ludzi” — tej najczystszej poetyckiej publicystyki, i choć się nieraz z autorem nie zgadzam — uważam go za jednego z najwybitniejszych poetów współczesnych. Ale w tym właśnie sęk — oto u Miłosza jest robota „z główką”...

Tu jednak muszę skończyć... po prostu nie mam recepty na robotę „z główką”. „Z główką” trzeba się urodzić, a potem włożyć do niej troszeczkę, to coś z tego może być.

Krzysztof R. Gawro

# Wystawa grupy „Warszawa”

Już zeszłoroczna wystawa Grupy „Warszawa”, a może jeszcze bardziej słowo wstępne artysty malarza E. Burke zamieszczone w jej katalogu wywołało obszerną polemikę. Nic dziwnego — jedenastu młodych artystów w większości początków z ducha prof. Pekalskiego machnęło „świętokradzką” dłonią na drogi i kierunki wytyczane przez kapistowską elitę. Na Akropoliu polskiej plastyki zawrzało. Nestorowie malarstwa formalistycznego, bezprzedmiotowego, kolorysty, wyznawcy kanonu płaszczyznowości opanowali jednak wzburzenie i przyjęli taktikę najgroźniejszą: wait and see. Miast wstępnym bojem zgnieść śmiałków postanowili nie podnieść rzuconej rakawicy, nie wdać się w dyskusję. Słusznie. Zignorować młodych najłatwiej.

Młodzi zeszli z drogi, po której posuwa się sztuka od drugiej połowy XIX wieku, drogi, która każdego konsekwentnego twórcę prowadzi nieuchronnie do czystej abstrakcji i pustego formalizmu. Rozumując, że uciekająca od światła sztuka, powstająca na gruncie etycznego rozkładu współczesnych społeczeństw, eksperymentująca i psychologizująca, wsparta pogardą dla człowieka odkrytego przez Darwin i Freuda staje z załamany rękoma u kresu swej drogi: paradoksalnych spekulacji myślowych, — postanowili wyjść poza błędny i „nieczłowiecki” krag formy i koloru. Zakładając świadomie na podstaw swej twórczości ideologię na pozór poplastyczną twierdzą: „Jesteśmy przekonani, że nad słowami obecnego „elity” wykuwamy drogę dla nowego kształtu sztuki polskiej, która miła skłócone kawiariane zaciągnięty”.

Jakaż to droga?

Mówią o niej sami pionierzy, niestety ciągle jeszcze za mało sprycyzowanie i nie dość jasno. Ma to być droga „po ludzku pojętego życia plastycznie przeżytego”. Droga nowego stosunku do człowieka i jego spraw, „odrodzona miłością i wiarą w człowieka, potrzebami prawdziwego ludzkiego i pięknego życia”. Humanizm. Nie negują przy tym potrzeby czysto formalnych poszukiwań, choć nie chcą czerpać z gotowych wzorów przodującej sztuki francuskiej.

Druga Wystawa „Warszawy” podobnie jak pierwsza niezupełnie sprostowała założeniom Grupy. Bierze w niej udział już dwudziestu artystów malarzy i rzeźbiarzy. Nie wszyscy jednak zdają się wiedzieć, pod jakimi podpisali się ideałami przystępując do Grupy.

Do postulatów Grupy najbardziej zbliżył się Henryk Musiałowicz. Dobry w pejzażach odczułych lirycznie, mimo że zwykle lekceważył plan pierwszy („Droga do Miedzianej Góry” i „Przed deszczem”) jest natomiast doskonały w portrecie. „Ogrodnikiem”, podobnie jak na pierwszej wystawie „Autoportretem” postawił kamień milowy na drodze w którą ruszyła „Warszawa”. Portret ten choć z zaniedbanym tem jest dużym osiągnięciem tego niestrudzonego i śmiałego w poszukiwaniu własnej drogi artysty. Harmonia percepcji duchowej i zewnętrznej jest tym, co portret pojęty po „ludzku”, bez degradacji przedmiotu — czyni dziełem sztuki. Musiałowicz pokazał na obecnej wystawie jak szeroki jest zakres jego wysiłków i jak duże ma możliwości. Długa jest droga od ciemnego „Autoportretu” do „Ogrodnika”, lub od mrocznego w tonie barw „Przed deszczem”, do „Drogi do Miedzianej Góry”.

W pracach Cekałskiej - Baurkiej widać znaczny postęp w porównaniu do prac wystawionych w roku ubiegłym. Poszukiwana jej wywołują pewną nierówność prac i często ich przemęczenie. Wrażliwość kolorystyczna i pewna wyżyźniona widzenia znajdują wyraz w „Portrecie siostry” nie gubi jej rysunku, nie zmusza do odprzedmiotowywania obrazu.

Artysta za którego inicjatywą zawiązała się Grupa „Warszawa” Jerzy Baurki usilnie pracuje nad opanowaniem formy zgodnej z podstawowymi założeniami jego twórczości. Najlepsze ma rezultaty w „Chłopskich sadach”.

Akwarele Kozimierza Majewskiego są śmiałe i świetliste, a rysunki, choć autor nie wyzwolił się jeszcze spod wpływu Goyi cechuje duża indywidualność (np. „W kopalni”).

Pełna ekspresja jest sucha głia Jana Samuela Miklaszewskiego. Grafika jego jest po malarzku miękka i wymowna. Na szczególną uwagę zasługują „Koziarz”, „Kłódka” i „Żydzki”.

W tegorocznych pracach Marii Hieszpańskiej znaczący wysiłek i świadomość artystycznego przeżycia, niż w pracach zeszłorocznych.

Wśród znajdujących się na wystawie prac zębziarskich zwraca uwagę kute w marmurze „Dziecko” dobrze zapowiadającego się Stefana Mamoiła i „Dziewczynka z piłką” (gips patynowany) Makowskiej-Freydlchowej łącząca szczęśliwie dobrze wypracowane elementy formalne z poplastycznym stosunkiem twórcy do człowieka. Miła i z dużym uczuciem sportretowana jest „Głowa chłopca” (gips).

Poza tymi wystawiają: Jerzy Chojniński lepszy w akwielach niż w rzeźbach; powtarzający się w temacie („Niedźwiadki”) Wacław Kowalik; Stanisław Sikora, z którego prac wyróżnia się „Zubr”; Krzysztof Zeydler-Zborowski malujący jeszcze chaotycznie (w „Mariewie naturze” przedmioty wiszą zamiast stać), ale w niektórych pracach pełen wyrazu („Mokotów w zimie” i „Pejzaż 3”); Magdalena Gross-Zielinska, Ludwika Nitschowa, Piwowarskiej Monika i Edward, Stefan Rassalski, Józef Trentowski, Anastazja Zeleney i Wacław Waszkowski.

Omawiana wystawa zbiegła się w czasie z wystawą prac malarzów Alfreda Lenicy, oraz rysunków Ignacego Witza i Leona Michalskiego w Domu Wojska Polskiego. „Lektura” tych dwóch skrajnie różnych wystaw nasuwa każdemu zwiędzającemu masę refleksji. Na ile porównań tych przeciwnych światów sztuki można by księgi napisać. Tu jednak ograniczam się jedynie do postawienia pytania, które się z nią narzuca: czy sztuka ma służyć ideałom Piękna w tym samym stopniu w jaki nauka Prawdy?..

Malarstwo p. Lenicy jest niestrawna, często odpychająca wprost (np. „Pochłaniająca fala czasu”) mózgową pstrokacizną, wywodzącą się w niektórych wypadkach z ducha współczesnej sztuki angielskiej. Jedynie w kompozycjach figuralnych „Robotnicy u malarza”, „Od-poczynek” i „Solista” ma pewne osiągnięcia artystyczne.

Trudno również zrozumieć poco z nudnym rysunkowym gadulstwem wystąpił p. Michalski.

Lech-Tara

W kraju...

ZJAZD Z.N.P. W POZNANIU

W dniu 24 maja rozpoczął się w Poznaniu trzydniowy zjazd delegatów Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jest to drugi Walny Zjazd ZNP od czasu ukończenia wojny. Pierwszy, jak pamiętamy, miał miejsce w Bytomiu dyskutowało wtedy niemal wyłącznie sprawy związane z katastrofalnym położeniem materialnym pracowników oświaty. W artykule ogłoszonym w nrze 10 „Głosu Nauczycielskiego”, ówczesny przewodniczący ZNP Kazimierz Maj przypomina silne tendencje strajkowe nurtujące w szeregach delegatów bytomskich. Do strajku formalnego nie doszło, natomiast delegaci większością głosów opowiedzieli się wówczas przeciw zdecydowanemu przyjęciu do ZNP pracowników administracji szkolnej. Zarząd Główny ZNP postanowił jednak nie uwzględnić tej decyzji zjazdu bytomskiego i powołał do życia działającą w ramach Związku, Sekcję Administracji Szkolnej, który to krok miał być m. in. formalnie zatwierdzony przez Zjazd obecny. Przebieg zjazdu bytomskiego podyktany ostrą krytyką przez siły lewicowe, swoje nastawienie opozycyjne, zawdzięczał w pewnej mierze ówczesnej sytuacji wewnętrzno-politycznej, głównie zaś działalności PSL, z którego rekrutowała się większość działaczy związkowych. Ostatnie wybory delegatów na zjazd poznański, odbyte pod kątem wprowadzenia do władz w poszczególnych ogniwach ZNP, nauczycieli przynależących do partii politycznych, przyniosły sukces blokowi stronnictw demokratycznych, reprezentowanemu przez 85 proc. delegatów, w których liczbie 63 proc. rekrutuje się z PPR i PPS. Zjazd obecny wyłonił nowy Zarząd Główny i uchwalił nowy statut. Jak dużą wagę przywiązują siły rządzące do organizacyjnych spraw nauczycielstwa świadczy m. in. czynny udział w zjeździe premiera Cyrankiewicza, min. Skrzyszewskiego, min. Rusinika, sekretarza CKZG Geberta i posła Władysława Bieńkowskiego (PPR). We wszystkich przemówieniach wskazywano na konieczność pogłębienia i poszerzenia procesu harmonizacji — z ustrojem politycznym Polski Ludowej — ZNP, który zresztą w przeciągu ostatnich trzech lat zrobił znaczne postępy w tym kierunku. Pod adresem nowego rządu wysunięto postulat wciągnięcia do pracy organizacyjnej 25 tys. nauczycielstwa stojącego jeszcze poza związkiem, który aktualnie liczy 87 tys. członków. Przynależność do ZNP ma być bowiem w myśli statutu dobrowolna. Bolesław Gebert stwierdził w swym przemówieniu dostateczność polityczno-ideowego uświadomienia mas nauczycielskich, która to dziedlina zdaniem mówcy „jak dotąd leży prawie obojętnie”. „Wpływy żywiołu drobnomieszczan” — wg Heberla „są wciąż jeszcze wśród nauczycieli”. Mówca cytował powiedzenie Marksa, że „wychowawca sam musi być wychowany”. W artykule swym Kazimierz Maj przypomina współpracę ZNP w czasie wojny ze Stowarzyszeniem Chrześcijańsko-Narodowym Nauczycielstwa, dzięki której doszło po wojnie do zjednoczenia w ramach jednej organizacji. Naszym skromnym zdaniem dorobek ideologiczny Stowarzyszenia Chrześcijańsko - Narodowego Nauczycielstwa nie był w dostatecznej mierze reprezentowany na zjeździe poznańskim, na którym niewątpliwie osiągnięcia katolickiej koncepcji społeczno-zawodowej zdawały się być całkowicie zapoznane na korzyść ślęcego nawłazywania do stornulowań obozu lewicy. Wypada żywić zaś do tych byłych działaczy Stowarzyszenia Chrześcijańsko - Narodowego, którzy w roli delegatów na zjazd poznański nie potrafili dać wyrazu bezspornym zdobyciom wyznawczego światopoglądu.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK (Balk)

2

# LOT JASKÓŁEK

Z cyklu „Między wschodem a zachodem”

— Jestem przed Tobą, Panie, jako rogozie, miotane wichrami, krucha trzcina. Ty jesteś wiecznością. —

Ksawery szukał oczami wikarego, potrzebował teraz porozumienia z nim, utwierdzenia. Słowa dziekana przelatywały Ksaweremu około głowy jak rój os, odpędzał je brakiem uwagi. Przecież stary proboszcz i tak nie był w środku tego dramatu. To wikary, ksiądz Kabata, spowiadał senatora na śmierć. On jeden naprawdę coś wiedział o zmarłym: stoczył z nim ostatnią rozmowę, jaką Teodor Kunowski wiódł na ziemi.

Wikary powiedział Ksaweremu, że nie ma celu tać, że umarli przeżywał nastroj goryczy.

— Widzi ksiądz — opuścili mnie wszyscy.

— Nie powtórzył Ksaweremu tych paru słów:

— Nawet ci, w których wierzyłem.

— Trzeba wierzyć w Boga — powiedział wikary.

Było w nim jeszcze tyle siły, że targnął się z pościeli, w jakimś paroksyzmie złości. —

— Ja zawsze wierzyłem w Boga. Po swemu.

— Myślę — powiedział wikary Ksaweremu w jakiś wieczór, w pierwszy wieczór po przyjeździe do Włuk, gdy ciało stało jeszcze w sypialni senatora, — że ojciec pana był pogodzony ze wszystkim. Już po spowiedzi długo jeszcze mówił o panu. Niepokoił się o pana, tak dalece jak to może brnąć banalnie.

Ksawery siedział naprzeciwko X Kabaty, pokój na plebanii, oświetlony małą naftową lampą, tonął w mroku. Z twarzą, utopioną w dłoniach, nie mogąc spojrzeć w oczy ludzkie:

— Czy ja na zawsze będę musiał zostać z tą pieką świadomością? Co za cierpienie!

Wikary milczał chwilę.

— Chodzi o pana, nie o zmarłego. Niech pan się skupi w sobie. Cierpienie jest próbą ostateczną. Chrystus głosił, że litera zabija. Cierpienie jest po to, aby stanąć twarzą wobec życia, nie zasłaniać się formą ani symbolem. Musi pan z tego zdać sobie sprawę. Tamta sprawa przemienia, ale chodzi o to, co w panu zdziała, jak na pana wpłynęło.

— Wie ksiądz, piekło — to jest to, co my za sobą ciągniemy. My, przez nasze winy, tworzymy własne piekło. Idzie za nami, lecz już jako coś nadludzkiego, nadprzyrodzonego... A jednak, chcemy coś ze siebie ocalić.

Wikary skinął głową.

— Wobec Boga człowiek powinien mieć odwagę. Nie wątpić o sobie. W przeciwnym razie szatan zyskuje dostęp do człowieka, zaczyna go wyrećcać. Nie należy pozwolić, abyśmy byli wyrećczeni.

— Myślałem nieraz, że Bóg jest po prostu lękami przed śmiercią. Człowiek odważny nie powinien odczuwać żadnego strachu.

Ksiądz Kabata uśmiechnął się z rodzajem pobłażania.

— Wiem, rozumiem. Nie, Bóg nie jest „po prostu”, nigdy po prostu. Bóg jest w duszy. Góry topią się jak wosk przed Panem, władzą ziemi. I dlatego człowiek musi sobie na to pytanie, które mu zadaje sumienie, odpowiedzieć wyraźnie.

— Jakże znowu pytanie? — poruszył się Ksawery. — Nie rozumiem tego.

— Jedno jest najwznioślejsze i proste: rozumieć Boga. To znaczy, także rozumieć cierpienie.

Stojąc naprzeciw trumny ojca, w kościele, rozjarzonym światłami, Ksawery pomyślał: „czy mogę powiedzieć, że wierzę w to wszystko?” Miał ochotę odpowiedzieć sobie, że tak, że we wszystko, nawet w te msze, których ilość nie mogła być bez znaczenia przed trybunałem Radamanta. Ale istniał w nim chłódny, nieuikłany sprzeciw, nieco teraz zepchnięty z głównego jasnego planu świadomości, zepchnięty w podziemie. Uwieszony i głuchy, lecz nie pokonany jak buntownik o wielkiej duszy. Sprzeciw tłumaczył, że wszystkie trzy msze, nawet ta, którą odprowadził wikary przy małym bocznym ołtarzu, są formą starania, podjętego przez żywych przede wszystkim z uwagi na nich samych, na idee obowiązku. Sprzeciw sceptyczny, tłumaczył uniżenie we-

wnętrzną. Wikary powiedział, że łaskę odczuwamy zawsze jako uniżenie, jako przyływ energii i jasności widzenia.

— Jednak — uzupełnił — niech się pan strzeże, aby brać Boga tylko jako zagadnienie poznania. Trzeźwa filozofia, trzeźwa teologia — zawsze zostanie z nich to jedno, co właśnie jest za małe, zbyt niedostateczne: racjonalizm. Aby móc wierzyć, potrzeba łaski, łaski pokory. Choć trochę wewnętrznego franciszkanizmu. —

— Sam ksiądz mówił, że wobec Boga trzeba odwagi.

— Tak, odwagi. Jednak nie pychy. Szaleństwo krzyża było mądrością, ale mądrość ludzka bywa szaleństwem. Niczym więcej.

— Niech ksiądz się liczy — powiedział Ksawery — że ksiądz wykorzystuje sytuację. Jestem zupełnie znęcony, mogą powiedzieć, że nietrzeźwy. W takim nastroju można łatwiej ulegać, to prawda, lecz nie można zapewnić, że postanowienia potrwają dłużej nad jakieś tam godziny.

— Zarzut mi pan stawia, że jestem nielojalny, mało subtelny? Proszę pana, to nie jest zarzut. Ksiądz musi być zawsze rybakiem, łowcą dusz.

— Ksiądz, księża — przerwał Ksawery. — Za duży nacisk kładzie się na stronę formalną autorytetu. Franciszek z Assyżu był inny, właśnie on nie przeważała żadnej wagi do autorytetu, byłby zgodził się całe życie być tylko łachmanem, aby wstrząsnąć sumieniem. Wstrząsając sumieniem, ale nie polować na ludzi, autorytet kościoła, groza piekła — jak sfera myśliwska, puszczone na zająka... Przecież katolicyzmowi w końcu chodzi o zwycięstwo nakazów moralnych, o nic innego. A zwycięstwa nie odniesie się w sposób trwały przez postrach, przez terror. Przez zwycięstwo wewnętrzne.

— Chce pan powiedzieć, że przez żarliwość religijną? Żarliwość religijna jest jednak niczym bez łaski. A łaska — mój Boże. Nie zawsze jesteśmy godni łaski.

— Błogosławieni ubodzy. —

— Nie, nawet nie to tylko. Żarliwość, której nie wspiera łaska, przeradza się w pietyzm. A pietyzm jest o krok od świętoszkowości. Weźmy purytanizm, owo żydowskie odrodzenie religijne w Anglii, kiedy dzieciom nadawano biblijne imiona jako glejt religijny. Ortodoksja pietyzmu nie ma nic wspólnego z triumfem nakazów moralnych ewangelii. Purytanie robili majątki na wyzysku i na prawie o spółkach akcyjnych, kwakrowie ciągle śpiewali psalmy i nie brzydździ się niewolnictwem.

Organy ucichły i zaczęły bić dzwony. Począł się formować kondukt pogrzebowy, w kościele było teraz zupełnie milczenie, nad którym górował rozzwar dzwony — i ciche, krótkie szepty. Czerejski ustawiał chłopców, trzymających wieńce z długimi szarfami z papieru i płótna, czterech mężczyzn przyniosło trumnę przed kościół. Ksawery przystanął w drzwiach, oślepiony zimnym marcowym słońcem, dziekan w czarnej kapie odśpiewał jakieś wersety łacińskie i oddał ksaweremu z księży modlitewniki. Kondukt ruszył i Ksawery, nie oglądając się, znów szedł sam za trumną. Do bramy cmentarza było zaledwie kilkaset kroków i zaraz z hukiem dzwony kościelnych, który rozpyływał się i oddalał, jakby spływał w dolinę, zmieszał się głos cmentarnej sygnaturki. Tadeusz Czelepiński, mąż Moniki, podszedł do Ksaweremu.

— Myślę, że przeniesiemy ciało do grobu. —

Z ciężarem trumny na ramieniu Ksawery poczuł się nareszcie lepiej, nareszcie lżej i z wdzięcznością pomyślał o Tadeuszu. Tak, to była ostatnia przysługa, którą można było oddać ojcu. Nieść tę trumnę, ozdobioną w fantazyjne lwy i laury, odcisnięte w metalu, złożyć ją pomiędzy spokojnymi mogiły. otwartej w ziemi twardej i gliniastej. Obok leżały jeszcze oskardy i łopaty grabarzy, stryj Marcina nachylił się i po kolei odrzucał narzędzia grabarzy w głąb grobów. Tu i ówdzie czaił się jeszcze śnieg, jakby istniał powód, dla które-

go zima na cmentarzu, uczeplonym wzniesieniami i ocienionym jak stary park wysokimi świerkami, miała trwać dłużej, niż niżej, na polach, które prześwitywały ozimkami i blaskiem słonecznym poprzez ogolone drzewa. „Salve Regina, mater misericordiae” — śpiew trwał długo, dzwony już dawno ucichły, spłoszone kawki krążyły nad drzewami. Ksawery znowu poczuł niepokój na myśl, że za chwilę trumnę opuszczają w głąb ziemi i zacznie na nią spadać ziemia. Grudy gliniaste głucho brzękły o wieko, była cisza — tylko ten brzęk ziemi o metal, brzęk coraz bardziej przyspieszony, grabarze ujęli znowu łopaty. Wtedy dopiero podszła matka i wsunęła mu rękę pod ramię. Laura próbowała go o coś zapytać, lecz nie zrozumiała o co jej chodzi i nie odpowiadała, bo w oczach matki zobaczył szklące się łzy. Zrobiło mu się nagle przenikliwe zimno, poprawił na szyi biały szalik i zapiął rękawiczki. Było po wszystkim.

Większość przyjezdnych wyjeżdżała po południu. Zostawał jeszcze stryj Marcin z dwoma młodszymi synami. Jankowi kończył się już urlop. Ksawery chciał zaurzyczać matkę i Czelepińskich, lecz daremnie.

— Nie mogłabym tu zostać — powiedziała Anna.

Czerejscy prosili, aby przyjechał do nich przed wieczorem. Ksawery jednak czuł się związany obecnością stryja Marcina i cały wieczór spędził z nim razem. Chłopcy siedzieli niemo przy stole, wyraźnie zadowoleni, że nastroj oficjalny minął, ale niepewni czy już można całkowicie korzystać ze swobody. Po obiedzie zaraz zniknęli na Zary, wzięli sobie g'g, i wrócili dopiero pod wieczór. Stryj Marcin pisał na arkuszu listowym jakąś dłuższą orację, Ksawery zauważył przez ramię, że zaczynała się od słów „drogi bratanek”. Czekał, aż stryj skończy i z brodą, podpartą na dłoń, przyglądał się chłopcom. Pod jego spojrzeniem nie czuli się nazbyt pewnie i zerkali porozumiewawczo na siebie, jakby dla dodania sobie odwagi. Wyglądali mizernie. Co tu dużo gadać, pomyślał, znać było na nich nędzę. Nie zaprzętała sobie nigdy głowy rodzina biednego stryja Marcina, ale teraz, już nie tylko ich bliższa łączność z ojcem, lecz sam fakt, że tu byli, zmuszał do zajęcia się nimi. Dziwne to były losy — pomyślał Ksawery, z tym stryjem. Ojciec ich od dawna nawet nie wspominał, jakby pretenzje do rodziny rozciągał i na nich, choć przecież tak bardzo stali od wszystkich z daleka na uboczu, w swoim małym prowincjonalnym miasteczku, gdzie mieszkali. Ksawery podejrzewał nawet, że ojciec po prostu wstydział się brata i dlatego tak dążył do zatarcia śladów rodzinnych. W swoim czasie, gdy umarł stryj Michał, gospodarujący na dwiętnastu morgach na Kujawach, gdzie urodził się Teodor, senator zrzekł się swojej schedy na korzyść najmłodszego z braci, stryja Marcina. Ksawery wiedział, że ojcu wiodło się wtedy dobrze, lecz nie było jeszcze majątku. Dopiero go zbierał, dopiero go ciulał. Potem jeszcze stryj Marcin przyjeżdżał kilkakrotnie, później przychodziły tylko listy od niego i od jego żony, która była krawcową, nie widać było, aby ojciec odpisywał. Nie lubił pisać listów, czasami na Boże Narodzenie wysyłał do brata depeszę z życzeniami. Korespondencja — jako ostatni już wyraz stosunków — w końcu się urwała. Stryj Marcin ogłuchł w dzieciństwie po nieszczęśliwym upadku z konia przy wodopoju. Ksawery wiedział, że ojciec wózł potem małego brata do kliniki we Wrocławiu, lecz nic nie pomogło. Małego brata — sam wtedy nie był dorosły. Miał osiemnaście lat i był dopiero w piątej klasie rządowego filologicznego gimnazjum. Kalectwo przepędziło Marcina z trzeciej klasy tegoż samego gimnazjum. Nie było już mowy o niczym. Najstarszy z braci, Michał, nie uczył się w żadnej szkole i miał objąć gospodarstwo po swoim ojcu. Zresztą, gdy umarł z kolej Michał, stryj Marcin w dalszym ciągu nie wiedział co zrobić z ojcowską chałupą i w końcu ją sprzedał. Ale pieniądze się go nie trzymały i po prostu je przejedli. Ostatecznie, nic w tym nie było dziwnego. Stryj Marcin prowadził małą prowincjonalną księ-

garnię, z którą był połączony skład materiałów piśmiennych. W wolnych chwilach zajmował się jeszcze oprawą książek. Był czas, że szło im nawet nieźle. Mieli wtedy jakiś nawet domek w tym miasteczku, gdzie mieszkali. Później trzeba go było sprzedać, Marcin tłumaczył się długotrwałą chorobą żony. Senator posyłał mu wtedy jakieś morały w związku z listem, utrzymanym w tonie korespondencji biurowej.

— Ile wy macie lat? — zapytał Ksawery chłopców.

Spojrzeni po sobie, jakby pytając się wzrokiem, czy należy odpowiedzieć. W końcu starszy się namyślił:

— Ja mam siedemnaście, a on piętnaście. W zeszłym roku skończył szkołę powszechną.

— A ty co robisz?

— Prawie i nic. Pomagam ojcu w sklepie.

Stryj Marcin skończył pisać, podniósł głowę i widać wyczuł, że była prowadzona jakaś rozmowa, ponieważ przyglądał się badawczo twarzom trzech młodych ludzi, jakby chciał z nich odczytać, o czym mogli mówić. Ksawery wziął do ręki arkusik papieru i zaczął czytać. Charakter pisma miał stryj niesłychanie podobny do pisma ojca, tyle, że pismo ojca było bardziej jeszcze pochyle, litery jeszcze wyższe i zdecydowanie ostro zakończone. To pismo się nieco rozpyływało, litery w wyrazie nie zawsze się łączyły, było w nich więcej pośpiechu czy też tylko niedbalstwa. Stryj w swoim orędziu odręcznym dawał wyraz przekonaniu, że najdalej pojutrze, a może nawet już jutro i on sam z synami będzie musiał wyjechać. Przyjechał na pogrzeb, ażeby pożegnać człowieka, który był dobrym bratem. Wykształceniem Janka, ściśle biorąc kosztami wykształcenia, zajmował się — tego czasownika uznał za stosowne użyć stryj Marcin — ś.p. zmarły. Co prawda, teraz już Janek w wojsku nic nie kosztuje. Jednak, stryj, sądzi, że nieprędko będzie miał znowu okazję zobaczyć kogoś z „drogich bratanek” i dlatego, może z pośpiechem, ale niech to wyjaśnią względy przytoczone, prosiłby o wyjaśnienie, czy może liczyć, że drodzy bratanekowie pomogą i nadal Jankowi, gdyby po wojsku chciał iść na wyższe studia.

Ksawery odruchowo powiedział — „ależ naturalnie” i dopiero po chwili, gdy stryj Marcin zaczął dawać niepokojące znaki, że należy czytać dalej, napisał te dwa słowa na kartce. Stryj zaczął dźwiękować, uśmiechnął się i mówił, przestał odwoływać się do ołówka. Widocznie w tamtej kwestii, która była tak ważna z jego punktu widzenia, wolał nie dowierzać swojej wymowie. Orędzie stryjowskie kończyło się uwagami o pożytku nauki, stryj miał specjalne zaufanie do Akademii Stomatologicznej i dodawał, że tam się bardzo trudno dostać. Trzeba mieć szczęście, ale lepiej jeszcze protekcję. „Zapewne są ludzie dzisiaj — pisał stryj Marcin — którzy mogą obywać się bez korzystania z protekcji. Ci jednak, którzy bez protekcji bardzo się męczą, wiedzą co ona jedna na tym świecie może”.

Jeszcze przed chwilą Ksawery miał ochotę iść do siebie na górę, aby móc spokojnie pomyśleć o ojcu, który spędzał pierwszą swoją noc w ziemi i którego już właściwie nie było, chociaż wikary mówił, że śmierć jest tylko wyzwoleniem duszy. Było to zagadnienie wielkiej wagi i Ksawery pragnął je do głębi przemyśleć. Sprawa stryja Marcina narzucała się jednak jako doraźnie jeszcze ważniejsza. Ksawery odczuwał rodzaj wyrzutów za ojca, istniały mimo wszystko jakieś uczuciowe zaniedbania, jakiś uczuciowy dług, który dla Ksaweremu był uosobiony w figurach tych dwu młodych chłopców, którzy byli przecież jego braćmi. Nie w tym stopniu, co Konrad i gdyby właśnie oni nie przyjechali na ten pogrzeb, nie pomyślałby o nich nawet. Podczas, gdy obowiązkiem Konrada było jednak przyjechać. Skoro jednak przyjechali, należało coś postanowić i rozumiał, że stryj Marcin może w tych postanowieniach odegrać tylko drugorzędą rolę.

„Nie znam ostatniej woli mego ojca — napisał do stryja na odwrocie jego kartki — i nie wiem nawet, czy ojciec zostawił testament. Jego rozporządzenia, odnoszące się do rodziny, zostaną wykonane. Chciałbym jednak zaznaczyć, że pragnę stryjowi pomóc materialnie, a niezależnie proponuję, aby mi stryj zostawił na dobre młodszego z chłopców, to jest Adasia. Zajmę się nim jak ojciec zajmował się losem Janka. Trzeba, żeby się uczył. Niech stryj pomyśli, co zrobić z Mi-



chałem, który ma siedemnaście lat i któremu teraz ponownie zacząć się uczyć będzie trudno. Ja sam na razie nic nie widzę“.

Stryj przeczytał kartkę bardzo szybko, pokręcił głową z jakimś niedowierzaniem i powiedział swoim szorstkim, nie modulowanym głosem:

— Dla siebie nic nie chce. Nie można tak. Ale za Adama bardzo dziękuję, bardzo — potrząsnął mocno lewą dłońią Ksawerego.

Stanoło ostatecznie na tym, że stryj z chłopcami miał jutro wyjechać, aby jeszcze porozumieć się z żoną. Za tydzień mniej więcej, jadąc do Warszawy, Ksawery obiecał wstąpić do nich i miał wtedy zabrać Adama. Potem Ksawery się rozejrzył, co Adam umie i spróbuje go oddać pod opiekę jakiegoś wytrawnego korepetytora, aby od nowego roku szkolnego Adam mógł już chodzić do szkoły normalnie. Wtedy też jeszcze raz porozmawiają o losach młodego Michała. Zresztą, będą się widywać, na początku lata stryjostwo przyjadą do Włuk.

— O, — roześmiał się — a kto w sklepie zostanie? Nie, nie da się to zrobić — pokręcił głową stryj Marcin i Ksawery już nic nie odpowiedział, tylko poszedł na górę.

Marcin Kunowski odjechał nazajutrz rano i we Włukach zrobiło się jeszcze bardziej pusto, niż kiedyś, gdy Ksawery przyjechał tu po raz pierwszy i niż wtedy, gdy po przyjeździe ojca zachorował na płucą, w tamtą jesień, którą to nagie przedwiośnie tak bardzo przypominało. Wszędzie, po alejkach i po trawnikach, poniewierzały się zeszlizoczone liście, wiatr trząsał drzewami i okiennicami po całych dniach, nocami nie cichło ani na chwilę. Co za wichury! Powietrze było mimo wlatru wilgotne i niedobre. Ksaweremu nie chciało się wychodzić z domu, znał ogród na pamięć. Każdy zakątek go tutaj mierzył, wydawał się nazbyt znany i nie atrakcyjny. Hondec i Szczypkowski ciągle się nie pokazywali, nawet pokojowa Stefka i nowa kucharka trzymały się też z daleka. Kiedyś tylko Stefka zdobyła się wieczorem na odwagę:

— Boże, jak to wyje! I to tak od pogrzebu.

Zwykle Ksawery odpowiadał Stefce na jej uwagi, zawsze zresztą rzeczowe i zwzięte. Lubił ją bardzo. Dziś jednak nie mógł się zdobyć na odpowiedź, w powietrzu huczało, gdzieś z daleka szły odgłosy jakby wich-cher przerzucał olbrzymie dachy z miejsca na miejsce.

— Niech Stefka każe założyć kasztankę do giga. Proszę zaraz iść do Małodobrego. —

— Boże, dokąd teraz? — zatrwożyła się. — W taką porę?

— Wiatr i koniec.

Pokiwała głową.

— Wcale nie jestem zabobonna. Lepiej jednak być w domu.

— Kiedy ja jadę na plebanie.

Spojrzała na niego i wyszła. Istotnie od śmierci senatora działa się tutaj dziwne rzeczy i gdyby była zabobonna. — Jednak, gdy okryta chustką przebiegała przez ogród od dworu do stajen, kiedy poczuła zimny wiatr, przenikający aż do ciała, poczuła strach. „Co ten Ksawery znowu zamysła, co w niego wstąpiło tak od razu?“. Pojechał sam, bez chłopca, zwykle zresztą, gdy jeździł gigiem, nie zabierał ze sobą nikogo do powożenia, a do Leśnej było tak blisko. Stefka była jednak pewna, że tym razem nie jest to zupełnie zwyczajna jazda. Nie miała ochoty wracać do dworu i kręciła się po stajniach. Nocny pokój był spaci i chrapał tak głośno, że głużył stapania koni. Lampa nad drzwiami drżała od zewnętrznych uderzeń wiatru. Gdy wyszła na dwór, psy jej nie poznały i zaczęły ujadać.

Ksawery — wszyscy go tak na folwarku nazywali. Imię tak się wydawało dziwne, że brzmiało jakby jakaś godność, jakiś tytuł. Stary Kunowski był senatorem, a młody — Ksawerym. Chłopci nieraz przychodzili do dworu i mówili do niego „panie Ksawery“. Nie śmiał się wtedy, ani nie prostował ich błędu. Ojciec Stefki, sześciomogowy gospodarz ze sąsiedniej wsi Opacz, Ksawerego niecierpiał, nie nawet żeby go znał. Nawet później, gdy Stefka już zaczęła służyć we dworze, też do Włuk nie przychodził. Nie chciał jej pozwolić, aby poszła na służbę do dworu.

— Ze dworu — powiedział — nic dobrego dla chłopca przyjąć nie może. Dwór, ma swoje prawo, a my swoje, chłopskie, i razem iść nie możemy. Oni sobie, a my sobie. Zakazuję ci, Stefka, słyszysz? Ojcowski zakaz był święty.

Nie posłuchała

W miesiąc później zatrzymał gig Ksawerego przed gminą w Leśnej.

— A ja nie chcę, żeby moja córka u panów była we dworze. Odbiorę!

Ksawery wzruszył ramionami i powstrzymał zaniepokojoną kasztankę.

— Ja jej siłą nie trzymam. Sama przyszła. A o co wam idzie? Czy się Stefka skarży?

— Nie. Tylko dwór niczego dobrego chłopu nie da.

Przy obiedzie zapytał Stefkę, co to wszystko znaczy.

— Ach — powiedziała zaczerwieniona — niech pan Ksawery na niego nie uważa. Stary zazdrośnik — określiła. — A wszystko przez to, że ja chciałam iść do miasta, ale żałowałam pieniędzy, chciałam, żebym na nich robiła. Więc i tak odeszłam, na swoje. Prawie tak jak na swoje — poprawiła się.

— Do miasta? — zdziwił się. — A po co, Stefko?

Westchnęła.

— Chciałam innego życia — uśmiechnęła się jak ktoś, kto prosi o wyrozumiałość. — U nas w domu ciasno i ciągle tak samo. Ja zawsze wiedziałam, że jest i inne życie.

— Inne życie. — powtórzyła. — W końcu, wyjdzie Stefka zamaż —

— Ach, pan Ksawery zawsze coś takiego powie. — Roześmiała się, niby zgorzozna, ale nie odchodziła. — Ja bym wyszła za mąż tylko za takiego, którego kochałabym, nie dla gospodarstwa, nie! — Powiedziała widać za dużo, bo nagle wybiegła z pokoju. Ksawery zresztą do tej sprawy nie wracał i już więcej o ojcu Stefki ani o mieście nie było mowy.

Pytał się o niego kiedyś, mimochodem. Szczypkowskiego, który znał na wylot całą okolicę. Leśniczy przyjrzał się Ksaweremu podejrzliwie.

— A, Pobiela, ojciec Stefki ze dworu? To polityk. Niech go kaci. Skąpy jak kutwa. Skupuje ziemię z uciulanych pieniędzy, teraz świeżo dokupił znowu morgę. No, dzisiaj wiele oszczędzić nie może, takie czasy ciężkie w rolnictwie... Poza ziemią, nie uznaje innych wydatków, sami chłopcy się trochę z niego śmieją. Ma jednak mir, o — to jest polityk.

— Polityk? Jak pan to rozumie?

— Bo ja wiem zresztą... — wykręcał się. — Twierdzi, że ziemia powinna być wspólna i że niedługo nastanie władztwo ludu, władztwo chłopskie.

— Tak — powiedział Ksawery — tak. Innymi słowy, że własność prywatna jest kradzieżą. — Tego znowu Szczypkowski nie rozumiał i nie chciał się z tym zdradzić. Powiedział więc tylko:

— Owszem, tak można by żartobliwie powiedzieć.

— Żartobliwie. — powtórzył Ksawery, patrząc Szczypkowskiemu w oczy. „Co za tuman“. — pomyślał. Bezwzględnie, pod tym względem Szczypkowski nie mógł służyć, jako przykład. Był natomiast wzorem małego, drobnego sprytu i nawet senatora potrafił owinąć dokoła palca. Jego zasadą było jednak, aby mieć pokorę robaka. „Małuczkich Pan Bóg wywyższa“ — powtarzał żonie i na rachunek tej nadziei sprzedawał drzewo z lasu, w drobnych ilościach, na metry, nie tylko dla senatora, lecz i dla siebie. Senator nie wierzył, gdy mu o tym mówiono. Zasadniczo nieufny, miał swoje uprzedzenia.

— Szczypkowski jest mi życzliwy całą duszą. Więcej, to jest jeden z niewielu życzliwych mi ludzi.

Istotnie, nie można było powiedzieć, aby senator do ludzi odnosił się z zaufaniem. Oddzielał się od nich, szukał ustronia — i pod tym względem Włuki były idealne. Poza Czerejskimi i ostatnią dwoma braćmi Mohackimi, z którymi Ksawery nawiązał stosunki, Włuki były jak wyspa w sąsiedztwie. Dziekan z Leśnej, który lubił obiady i pogawanki w towarzystwie, był obyczajami nowego sąsiada zgorzony i gdy przystano z Włuk po księdza, dziekan czuł się na tyle przeziębiony, że nie miał nic przeciw temu, aby z ostatnią posługą pojechał wikary. Wikary był już raczej niemłody, a może tylko tak staro wyglądał. Od towarzyszt trzymał się z daleka, natomiast brał żywy udział w życiu społecznym. Te wiadomości miał Ksawery zresztą od Stefki, która należała do katolickiego stowarzyszenia młodzieży żeńskiej.

Wikary był u siebie i wcale się nie zdziwił, gdy zobaczył Ksawerego. Okiennice były zasunięte, lampa naftowa flowała na stole, na dworze deło.

— A, to pan. — powiedział

Ksawery usiadł przy stole, nie rozbiegając się.

— Domyśla się ksiądz może — mówił z gorzycą, — że ciągle nie mogę sobie dać rady. Tym bardziej, że nie widziałem ojca w tych chwilach, wtedy, gdy umierał, tym bardziej mnie to męczy. Powiedziałem już księdzu, że człowiek pragnie coś ze siebie ocalić — po tym, po śmierci. Jak dalece to jest możliwe? Niech mi ksiądz powie, ja muszę wiedzieć, co się dzieje z ojcem. Tylko niech mnie ksiądz nie odsyła do katechizmu, wtedy cała rozmowa byłaby na nic.

Chwilami na dworze wlatr cichł i wtedy słychać było szum jakby uchodzącego tętentu.

— Katechizm — to jest ważne — powiedział wolno wikary. Namyślał się, ogarnęło go nagle zwątpienie i beśsiłość. Skąd wiemy jak ocalić człowieka? Gromić, nauczać? Właściwie, teraz pojmował bezradność położenia dziekana. Aby gromić, należało mieć za sobą coś wyższego, niż autorytet plebanii. W środowisku, z którego wyszedł ten młody człowiek w czarnym paltole, przyzwyczajono się od stulecia do uśmiechniętej religijności, do pasożytniczego i powierzchownego uśmiechu. Uśmiechnięty proboszcz, przymykający oczy, nie kaznodzieja i nie pogromca sumień. Wtedy sprawdzają się obawy dziekana, że poznanie prowadzi do grzechu. Młodsze pokolenie było jeszcze bardziej nieczne i obojętne, jakby pozbawione wewnętrznej mocy. O siebie troszczyli się sami, troskę o innych zostawiali księdzu, przeznaczeniu, komukolwiek. Ks. Kabata rozumiał dziekana — w jaki sposób wdziierać się w duszę takiego katolika jak Czerejski? Czerejski przyzwyczajony był do widoku księdza w ornacie przed ołtarzem, do widoku księdza Dziewulskiego przy stole w pogawędce. Ale w roli sędziego, w roli pogromcy dusz? Istniała widoma abdykacja plebanii z tej roli i nie wystarczyło się pocieszać, że z ambony włada się nadal duszami ludu. Małuczy uczyli się stosunku do kościoła od oświeconych, z tym samym cynizmem. Kościół nie szedł w pogoń za tymi zarozumiałymi duszami. Nie mogąc władać wewnątrz, zadawała się zewnętrznymi deklamacjami w rodzaju „jestem katolikiem“, zawierała pakt z nieagresji. Wikary czuł jak się w nim otwiera bolesna studnia. „Jeszcze raz kościół musi zejść między biednych i nędznych, jeszcze raz porzucić świat faryzeuszów w imię prawdziwej wiary, rewolucja w imię wiary“.

— Niech pan nie lekceważy katechizmu, to jest właśnie prawdziwa wiara. Pan chciałby tę drogę ominąć, znaleźć jakąś własną drogę, racjonalistyczną zapewne, czy nie tak? Cóż, ja jestem zwykły ksiądz wiejski i wiem to jedno, że świat nie dzieje się bez udziału Boga. Jesteśmy nieśmiertelni, ten fakt wynika z tego, co powiedziałem przed chwilą. Pan na pewno wierzy w godność człowieka, tak? Czym jest ludzka godność? Nie jest cechą przyrodniczą, powie pan, a cechą humanistyczną. Czy aby tylko tyle? To jest nasza nieśmiertelność, nasze prawo do ostatecznego wyzwolenia, owa ludzka godność. Po śmierci się może nie żyje, ale po śmierci się na pewno istnieje. Dlatego kościół pilnuje wiary w niebo i w piekło.

Przestraszył się jednego własnego odezwania i dlatego umilkł. „Jestem zwykłym wiejskim księdzem“ — to już był ten rodzaj skromności, w który szatan mota wyzywającą pychę, pychę z poniżenia. „Skoro jestem księdzem — pomyślał wikary — mam jeden obowiązek: szukać za innych i dla innych. Być tylko dla innych, nie dla siebie“. Łatwo jest osiągnąć w życiu spokój skorupki, przez zgodę, przez przystanie na wszystko. Jak trudno o zgodę. Wszystko żywe jest buntem.

— Niech pan pomyśli — powiedział do Ksawerego — że Faust spotkał na swej drodze Mater Gloriosa. Ale niech pan pomyśli mocno, intensywnie. Najgorsze jest — wiedzieć, że istnieje rozwiązanie. I nie wybrać go, pozostać nadal w obojętności. Niech pan o tym pamięta. A będąc w Warszawie, niech pan idzie do spowiedzi.

Ksawery nadal milczał, bębnił tylko palcami w skrawek serwetki. Rozmawiał na ten temat, jeszcze przed laty, z Nestorowiczem i tłumaczył mu, że największą przeszkodą w uznaniu religii jest konieczność przyjęcia liturgii. Nestorowicz nie był tego zdania.

— Jeżeli ktoś chce czytać, musi znać abecadło. Chodzi więc o to, czy się chce czytać. Istnieją powody, które sprawiają, że niektórzy ludzie nie potrzebują tej sztuki. Może istnieć na przykład poeta, który jest analfabeta, tworzy jednak ładne wiersze.

Ksawery wstał i zaczął się żegnać, wikary nie zatrzymywał.

— Dziękuję księdzu — za wszystko. Muszę pomyśleć

Wyszedł w noc, wzburzoną i niespokojną. Ks. Kabata został sam, w pokoju było chłodno, narzucił na siebie palto. Chrześcijaństwo musi odbyć drogę do Bóstwa, o pogłębienie, o nadanie wartości prawdzie przeciw konfesjonalizmowi i przeciw ateizmowi. Kto mówi, że cnota jest szczytna, niech praktykuje. Najgorszy jest ten faryzeizm, kłamstwo, kalające wargi kłamcy i uszy słuchacza.

Wpatrywał się w krucyfik. Siła modlitwy — wiedział, że trzeba wierzyć w modlitwę. Dawała potęgę słabnącym, moc wytrwania cierpiącym, gdy zadawali sobie pytanie, po co jest cierpienie. Po to, aby poznać smak życia, aby wyjść poza pustkę spokoju. Natura ludzka nie jest jednorodna, wszystko jest w nas, dobro i zło. I szatan — pomyślał z przerażeniem ks. Kabata. Szatan, który jest jak kłamstwo, który nie jest prawdziwy. Szatan to wcielenie kłamstwa, nie pychy. Przymknął na chwilę oczy. Był ogród, pełny róż i tulipanów, z motylami, przelatującymi od kwiatu do kwiatu, od krzewu do krzewu. W takim ogrodzie barw i zapachów żyje dzisiejsza cywilizacja, a zapomniani i odrzuceni są ci wszyscy, którzy karczą las, którzy orzą pole. Żyć pięknie! — zadrwił ks. Kabata. Co to jest piękno? Wiele wymagać od siebie, taki powinien być sens życia. Kłamstwo przyszło z chwila, gdy zaczęto wiele wymagać od innych, rozgrzeszając siebie. Wolnomyśliciele epoki oświecenia z ich wrzawą, robioną na pokaz, Voltaire, piszący do króla pruskiego, że wielkim zaiste trzeba być człowiekiem, aby zagarnąć szmat obcego królestwa i jednocześnie pamiętać o przyjacielach, posyłając im tak piękny serwis z saskiej porcelany, za który on, Voltaire, śpieszył przesiać podziękowanie. Śmieszni moralści, mówiący przez nos, potępiający spacer do lasu po konwalie, jeżeli ma on wypaść w dzień niedzielny, nienawidzący nie grzechu, lecz grzesznika. Moralści, którzy — mój Boże! — rewolucję francuską traktowali jako karę niebios za grzechy Francji, za jansenizm.

Jeszcze długo będzie męka, tylko męka. Ale wikary wiedział, że walka musi mieć coś z męki i że lepsza, łatwiejsza jest męka walczących, niż męka tych co poddają się bez walki. Bo pierwsi mogą mieć nadzieję. Walka — to już nie jest cierpienie indywidualne, lecz cierpienie masy.

## II

W ciągu tych paru dni, które Ksawery spędził jeszcze we Włukach, przerzucając ojcowskie papiery (Stefka opowiadała w podwórzu, że pan Ksawery szuka testamentu), przyjechał, bez zapowiedzi, Konrad. Wszedł przez kuchnię i Stefka przyprowadziła go do Ksawerego, do gabinetu. W milczeniu uściśli sobie ręce i dopiero, gdy Stefka wyszła, Ksawery zapytał:

— Dlaczego nie przyjechałeś wcześniej?

— Matka ci nie powiedziała? Nie mogłem. Nie mogłem się ruszyć ani na krok.

— Nawet na parę godzin.

— Nawet. Może i lepiej. Byłaby ostentacja, na oczach wszystkich, po tych kilku latach rozłąki. Byłoby mi bardzo trudno. Jutro będę na cmentarzu — i to będzie to samo. Dla mnie może nawet więcej.

— Wiesz, mam ochotę się śmiać i dziwić się doprawdy, że nie mogę. Ja na twoim miejscu —

— Wiem, na moim miejscu byłbyś na pogrzebie. Właśnie na pogrzebie, jeżeli już nie wcześniej... Nie mam ochoty, kiedy jesteśmy teraz razem, w dwu, nie trzeba, abymy zaczęli od sporu. Jeżeli możesz, postaraj się zrozumieć.

Była w jego słowach aluzja, którą Ksawery podchwycił. Bawił się nożem do rozcinania papieru i podgwiżdżywał fałszywie. Konrad miał prawdziwy dar rozbierania niechęci ku sobie — uśmiechem, akcentem zupełnej szczerości, dobrą wiarą. Tym razem między nimi było po raz pierwszy inaczej, była wyraźna mała fides. Ksawery uważał, że aluzja do samotnej śmierci ojca jest rodzajem szantażu, który może i kończyć polemikę apelem „nie sądzić, abyscie nie byli sądeni“, ale kończyć ją formalnie i nieuczciwie. Nieuczciwie, bo osiągnął milczenie na gruncie kompromisu. To milczenie, które obaj decydowali się spuścić na wydarzenia, związane ze śmiercią ojca, jak rodzaj zasiany, podkreślało, że w ich stosunku do ojca nie wszystko było w porządku. Łączyło ich jedynie niskim wzajemnej tolerancji jako w-ł-winnych. Konrad podkreślał nadomiar, niejako przy sposobności, że nie istnieje trębunał, który mógłby go sądzić, który mógłby go przesłuchiwać — i to było właśnie w tym wypadku szczególnie bolesne.

# Czytelnik uważa, że...

**W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.**

**Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.**

## DO RED. „DZIŚ I JUTRO“ MERITUM I JA

Przerzucając kwietniowe numery „Kuźnicy”, znalazłam w jednym z nich (15-tym) notkę, noszącą niepozabawiony wdzięk bezpośredniości tytuł: „Nieuczciwość czy głupota”. Autor (ewentualnie autorka) noty „jma”, stawia mi zarzut „haniebnej” nieuczciwości przy interpretowaniu pewnego fragmentu „Pieśń Kobiet” B. Zelenickiego, zastrzegając przede wszystkim, że nie ma zamiaru polemizować co do meritum sprawy (poruszonej w moim art. „Refleksje” w „D. i J.” z dn. 22 lutego b. r.), gdyż — jak mówi — „szkoda na to czasu i papieru”. (Czyżby bezstronna ocena wrażeń i możliwości i ostrożność nieporównania się na merytoryczną dyskusję?)

Jeżeli dla p. „jma” przystępniejszy od zagadnień, postawionych w wymienionym artykule, jest problem, czy ja jestem... hm... głupia i nieuczciwa, to w takim razie bezceremonialnie wykozystam uprzejmość redakcji, omawiając mało kogo interesującą sprawę i postaram się zaspokoić ciekawość autora (czy też autorki) noty.

Na pytanie, czy jestem głupia, nie mogę nic konkretnego odpowiedzieć. Nie rezę za to, czy rozwiązywałabym wszelkie możliwe testy na inteligencję, ale przypuszczam, że rezultat badania psychotechnicznego nie wykazałby znaczącego odchylenia w kierunku oligofrenii. Czy jestem nieuczciwa? Nie. Podjęcie bezpodstawnie. Wcale nie przemawia za nim to, że wspomniany fragment należy inaczej interpretować, ani to, że nieujący autor „Pieśń Kobiet” bronić się nie może.

Fakt, że dany autor nie żyje, nie przesądza sprawy w ten sposób, iż byłoby czymś nagannym krytykować, atakować, zwalczać jego poglądy. W przeciwnym razie utrudniony byłby etyczny postęp społeczeństwa, wydanego na oddziaływanie niemoralnych idei, które nie raz przeżywają swoich twórców, ani jego postęp intelektualny, gdyż kurtujązją względem osób zmarłych nie pozwalałaby na rzeczową krytykę dzieł naukowych. W teorii zwykło się przyjmować, że wytwór jest czymś różnym od twórcy. Szacunkowi należnemu zmarłym nie ubliża próba podważenia kredytu, jakim mogą się cieszyć ich szkodliwe dzieła.

Co się tyczy kwestii owego zdania ze str. 107 „Pieśń Kobiet” („W pewnych klasach wreszcie należy wychowywać kobiety zupełnie nieświadome i nienawykłe do elementarnej nawet higieny”), to wskutek swej wieloznaczności cytowany postulat dopuszcza również i taką interpretację, jaka sugerowała w moim artykule. Kontekst nie daje żadnych wskazówek, o czym może się przekonać każdy, kto zechce. A przecież nie mam obowiązku przedwydawać, czy autor w kilka lat później nie napisał gdzieś wyjaśnienia, jak należy rozumieć jego wieloznaczny wypowiedzi, ani również nie mam obowiązku szperać po jego pracach, zwłaszcza jeśli z punktu widzenia naszej ideologii trzeba je ocenić jako „przeciwne wierze i dobremu obyczajom”, co w wojnym przekładzie znaczy: „ideologicznie szkodliwe”. Jeśli autor formułuje swoje myśli w sposób wieloznaczny, zawsze będzie narazony na to, że ktoś bez złej woli zechce im nadać sens przeciwny jego intencjom. W danym wypadku okoliczność, że tytuł cytelników tak właśnie czyniło, łatwo tłumaczy się tym, iż w tym czasie można się spodziewać po książce, w której się czytało postulat tolerancji niektórych moralistów. (Zostawiam to słowo. Nie wykreślę i nie zastąpię go innym, gdyż choć niepotrzebna mi jest domieszka jego uczuciowego zabarwienia, jako nazbyt już zużyta, aby mogła wywołać efekt, to jednak ma ono tę zaletę, że określa rzecz dokładnie. Niech więc zostanie, mi-

mo, że nie dla wszystkich będzie ono w powyższym zastosowaniu zrozumiałe).

Fragment „Naszych Okupantów”, cytowany w „Kuźnicy” był mi przed tym nieznamy. Nie będę sprawdzać tekstu, gdyż cytata mi wystarczy. Przypuszczam, że na te le cytaty omawiane zdanie nabiera innego sensu. Dopełnienie po słowie „wychowywać” nie oznacza ideału wychowawczego, tylko wskazuje klasę osób, względem których ma być podjęta praca „pedagogiczna”.

**Maria Bachanowska**

## „JUŻ CZAS I NA COŚ BARDZIEJ KATOLICKIEGO“

Swoje proste, a głębokie i szczere uwagi na temat relatywnej wartości liberalizmu (cf. „Dziś i Jutro”, nr. 126, w dziale: „Czytelnik uważa, że”) kończy p. Jakimiak: „Już czas i na coś bardziej katolickiego”.

Otóż to właśnie. Pachnie nam wolność i swoboda synów Bożych, ale warunków doświadczenia do synostwa Bożego wypełnić nie chcemy; w walce z materializmem powołujemy się na społeczne encykliki: papieskie, ale o encyklikach, mających na celu unormowanie naszego życia indywidualnego i rodzinnego w duchu Chrystusowym, jakoś głucho w naszej tygodnikowej prasie katolickiej. Ta dziwna autoremata prasa zamiast wzywać naród do pokuty, do reformy obyczajów, do myśli o odpowiedzialności pozagrobowej, buja w obłokach, daje pole do popisu różnym mistrzom języka i stylu, którzy walą sążniste artykuły o Mauriacach, Dostojewskich i innych rzekomo katolickich literatach, a którzy o Chrystusie i Jego Ewangelię, o przykazaniach Boskich i kościelnych, o cudownej mocy odrodzającej Sakramentów, o Ojcach Kościoła i ich głębokich, prawdziwych katolickich, dziełach milczą jak zakleci. Bo to technicznie przecież kazalnica parafialna, dewocja, która „nie uchodzi” w poważnym tygodniku „katolickim”, przeznaczonym dla inteligencji...

Tak, swoisty to ten tygodnikowy katolicyzm w Polsce. Przypominanie światu grózb karzącej sprawiedliwości Boskiej, powoływanie się na słowa biblijnych Proroków „zenuje swoją naiwnością”, ma „aspekt” parafianszczyzny, czy też kaznodziejski „wydzwiek”. Dobrze mówi p. Jakimiak, że obstawanie przy jakimś poglądzie katolickim w oderwaniu od warunkujących go innych poglądów katolickich jest herezją. Czyż to bowiem nie herezja entuzjastycznie się wskazywanie encykliki „Rerum novarum”, a równocześnie przemilczanie potrzeby życia w łasce poświęcającej od której przecież zależy błogosławieństwo Boskie dla naszego życia społecznego w życiu doczesnym. Wszak Chrystus powiedział: „Szukajcie najpierw królestwa bożego, a wszystko inne będzie wam przydane”; a także: „Bez mnie nie możecie”. Nasi jednak wielcy literaci tygodników i publicyści „katolicki” zawzięli się i powiedzieli sobie: „My i bez Chrystusa damy sobie radę, i urządzimy sobie życie społeczne na zasadach papieskich encyklik, byleśmy się tylko jakoś z „Kuźnicą” uporać”. Nie proszę panów, „jeśli się nie nawrócicie, zginięcie”, a zwycięstwo odnieście właśnie „Kuźnicę”, gdyż ona jest od was konsekwentniejsza. Prawda, że zwycięstwo jej nie jest na dłuższą metę, ale w każdym razie dzięki swojej prostolinijności utrzymuje się na powierzchni dłużej, niż hołdujący praktycznemu materializmowi katolicki teoretycy. „Bodaj był zimny albo gorący, ale iżżeś lećni, poczuję cię wyrzucić z ust swoich” — jak czytamy w Apokalipsie. Co tylko lećni, przedko samo zimnym się stanie... Zimno tylko gorącym zwyciężyć się daje. Katolicyzm jako taki ma nieograniczoną możność rozwoju, ale my katolicy staneliśmy na punkcie prawie zerowym, więc trudno nam rywalizować z pogłbiającym się u nas coraz bardziej praktycznym i teoretycznym materializmem, zwłaszcza, że i sami ten materializm praktycznie wznajemy. Pars major atrahit minorem, a właśnie prawdziwi katolicy w Polsce są w skandalicznej mniejszości, zatem...

Coś zawsze być musi, bo natura horret vacuum... Nie chce św. Chrystusa, to ma materializm i już Mimo naszej „świetnej”, rzekomo katolickiej publicystyki sromotnie przegrywamy, gdyż jak powiada św. Paweł. Królestwo Boże „nie jest w przekonywujących słowach ma-

drości ludzkiej, ale w okazaniu ducha i mocy” (I. Kor. 2, 4).

Tak, czas by już było na coś bardziej katolickiego, niż tylko odziewanie się od skutków materializmu, któremu i sami praktycznie hołdujemy. Czas zrozumieć, że gruski nie rosna na wierzbie...

## BARBARZYŃCY

Park Łanowski zwiedza wycieczka licealna z wojewódzkiego miasta. Gwar, śmiechy. Młodzież. Krzykliwość radości wzrasta, bo zobaczono posag nagiej Venus. Wnet dwóch młokosów drapie się na cokolwiek, chwytają boginię pod rękę i każą się tak koledze fotografować. Inni koledzy śmieją się klaszcząc w ręce. Pszytyk aparatu — scone uwieczniono.

Co to jest? Dowcip, wybrak młodości? Nie, to objaw braku kultury, barbarzyzm. Przynajmniej mnie, człowiekowi wychowanemu w kulturze klasycyzmu i humanizmu, tak się wydaje. Mierzi mi nie tylko to, że chywno pod rękę naga boginię, ale i to, że tak bez ceremonii postąpiło w ogóle z boginią. Tak samo, jakby mię raziło, gdyby ktoś posągowi Zeusa dał prztyczka w nos. Chamstwo. Barbaryzm.

A młody profesor stał z boku i nie skarcił swoich wychowanków.

Zamyślam się coraz głębiej nad tym: kto z nas dwu ma rację. Powiedźcie mi, wy młodzi, co wy kochacie, co wy szanujecie? Czy wy macie jakąś poezję w duszy, światłotłum i ideę, myśl piękna i myśl taktu? Ja sobie nie mogę jakoś wyobrazić inteligenta polskiego, biorącego „pod pachę” Venus i każącego tak się fotografować. Dla mnie to zawsze będzie objaw chamstwa duchowego.

**Ks. Franciszek Błotnicki**

## WIELCY LUDZIE

Są dziedziny życia, w których, według wielu ludzi, nie każdy może brać udział np. literatura, sztuka, co my tam możemy zdziałać śmiertelni? — Wiadomo, nic.

Przed kilku tygodniami spotkałem przypadkowo dobrego znajomego z przed wojny. Oczywiście, ucieszyłem się bardzo i grzecznie wysłuchałem ile ma pracy, projektów, jak redakcyjne proszą o jego artykuły (czasem pisze pod pseudonimem), jak wszyscy czekają na jego krytykę o nowych książkach. Właśnie przyjaciel wydał książkę i trzeba zrobić recenzję i przyjaciel znów pisze aż trze-

cią książkę i trzeba mu pomóc, a zebrań, na których wypada być i ludzi, z którymi wypada rozmawiać i do teatru wypada iść zobaczyć co grają ach, i w ogóle! Od razu zobaczyłem, że rozmawiam z wielkim człowiekiem. A, ja? Cóż ja? — Podziw i rozpacz w moim sercu, że ja nie mam tyle prac, tylko jedną i to taką sobie niebardzo płatną. Nieśmiało wtrąciłem pytanie diaczego wypada, czy nie nauczył się jeszcze podchodzić do ludzi tak z sercem — po prostu. Spojrzył z góry, uśmiechnął się pobłaźliwie i... zaczął zapraszać mnie do siebie. Do ich domu i to koniecznie, zaraz, natychmiast. Wytrzeszczyłem zdziwione oczy. Kpi, czy o droge pyta? — Ja i tacy wielcy ludzie. No, przed wojną, podczas wojny, ale teraz, dzisiaj? — Chciałem wyczuć, czy mówi szczerze, czy tylko wypadało powiedzieć. No, ale przecież taki dobry znajomy. Poszedłem, co to szkodzi i tak wybrałem się do kina, bo było trochę wolnego czasu. Przyjęli mnie bardzo gościnnie i uprzejmie. Zaraz na wstępie pani domu zmierzyla mnie od stóp do głów i zdecydowanie odwróciła się bokiem, potem wyszła do kuchni przyszykować herbatę.

Jej mąż, a przyjaciel mego znajomego, sympatyczny przeszła i miły człowiek, którego dopiero poznałem, wziął jakąś książkę i po krótkiej dyskusji z moim znajomym powiedział, że mu coś przeczyta.

Wcale się nie zdziwiłem, że mnie nie zauważył. Wiadomo. Wielki człowiek. Herbata wreszcie została podana ze dwa metry od fotelu, w którym siedziałem. Zaczęli pić. Przygodkowo ktoś się obejrzał i zapytał diaczego nie pije? — Wiadomo, pomysłalem nie unieść się zorientować w zwyczajach tego domu. U wielkich ludzi pewno znaczy, że jak stoi filiżanka to od razu kto jest to pije bez żadnego gestu, ani słowa zaproszenia ze strony gospodarzy. Później wytłumaczyli mi, że oni mogą siedzieć przy stole, a jak ktoś jest to sobie bierze filiżankę i siedzi na boku. „Nie szkodzi, że daleko. — Nikt od nas lepiej nigdy nie znał się na formach towarzyskich. My, świat przedwojenny” powiedział.

Pani prowadziła ożywioną dyskusję na poziomie swoich kilku klas gimnazjalnych, Robiłem sobie w duchu wyrzut, że nie mam pojęcia jak się najlepiej gotuje kawę „Enriolo”, bo właśnie o tym była mowa.

Wreszcie, kiedy zaczęła szybko inny temat co się odezwał, jak redakcyjna proszą o jego artykuły (czasem pisze pod pseudonimem), jak wszyscy czekają na jego krytykę o nowych książkach. Właśnie przyjaciel wydał książkę i trzeba zrobić recenzję i przyjaciel znów pisze aż trze-

Poniawał był wiecior, a ja miałem dużo czasu i śmiałości do przedwojennego znajomego, myślałem, że dobrze się stało, że nie poszedłem do kina. Byłem więc niegrzeczny, siedziałem i kiedy zapomniał o moim istnieniu, przeglądałem książkę napisaną przez męża pani (humorystyczne opisy na temat: co mu się śniło), żeby ewentualnie umieć coś powiedzieć.

Autor zaprosił mnie z nagłą uprzejmością na kolację z nim do drugiego pokoju. Zobaczyłem, że tym razem szczerze i uśmiechnąłem się, ale co? Zona z podniesioną bojową głową powiedziała sercem „veto”. Mąż spuścił szybko oczy, a los chciał, że w tej chwili ktoś zadzwonił. Przyszli goście.

Z przedpokoju od razu poszli na piętro. Goście i gospodarze. Ja tymczasem przejechałem na dół całą książkę i z żalem opuściłem miły dom.

Do dziś mówią, że mają do mnie pretensję, że przecież mnie zapraszała na kolację, a ja... śmiałem nie czekać. Pewno wybacza, wspaniałomyślni, wielcy ludzie.

Myślę, o tym, że dawno uczyli mnie tak: „gdzie cię radzi widzą bywał mało, gdzie nie radzi, nie bądź wcale”. Pewno mnie radzi widzieli, bo znajomy znów mnie usilnie zapraszał na któreś popołudnie. A ja pójść może wtedy, kiedy naucze się pisać książki, w co wątpię, ale... jeśli spotkam się na innym polu gdzie nie będzie decydowała ilość napisanych książek i ilość artykułów umieszczonych w „Kuźnicy” i „Odrodzeniu”?

**Z. Kuchna**

## SPROSTOWANE

W numerze 21 (130) naszego pisma do artykułu p. t. „U Niezłęcznych” wkładły się trzy przykre błędy drukarskie. W tytule odbito małą literą wyraz drugi. W przedostatnim zdaniu przekreślono nazwisko artysty Mokwa na Moskwa, a w ostatnim zmieniono sens przez dodanie słowa: nie.

# Nabyć, czytać, nie czytać?...

**Władysław Smólski, Drewniana koszula, humoreski, „Książka”, 1948.**

Już przy okazji omawiania tomiku satyr Włodzimierza Słobodnika pt. „Poufne”, zauważyliśmy, że często to utwory, które czytamy co tydzień w „Szpilkach”, chociaż w wydaniu gazetowym były strasne, w wydaniu książkowym są szablonem, schematycznym komizmem, nudą. Z tej samej okazji zaryzykowaliśmy wtedy powiedzenie, że dla satyrka nuda to niemal wyrok śmierci. Przypominają się te uwagi przy czytaniu humoresk Smólskiego. Razi w nich bowiem i odmiennością tematu i banalność point i naciągany, a wąż plwawy komizm i przykre, zgubne dla ciekoty satyry gadulstwo. Opowiadanka, które miały ułatwić, zdenerwować, poruszyć, ani nie bawia, ani nie poruszają, a jeśli denerwują to chyba tym, że nudzą. Kilka czasami nawet zgubnych, czy dowiecnych powiedzonek nie wynagrodzi czytelnikowi brnięcia przez stereotypowe sytuacje do stereotypowej pointy. O ile jakaś nowość w tych kalambrukowych przekładach wynajdzie dla siebie pracowity czytelnik, o tyle tematyka pamięta chyba czasy, kiedy atomy krałyły wolne w przestrzeni. U Smólskiego oprócz małej wynalazczości w zakresie tematyki niepokoi skłonność do powtórzenia samego siebie, popadanie w manię powtórzeń, kalkowanie własnych humoresk. Całość — rozmięta w tygodniowych felietonach „Szpilek” wywołuje trochę przymuszony, ale jeszcze sympatyczny uśmiech, wydana w książce — budzi grymas niechęci i znudzenia. Dla wydających swoje felietony satyryków płynię stąd wyrażna przestroga: czytelnik tygodnika, a czytelnik książki to dwaj różni czytel-

nicy. Pamiętał o tym Huszcza w „Miasteczku nad Olszanką” — dlatego do jego felietonów będziemy wracać z niepodważonym zaufaniem, czego nie da się powiedzieć o felietonach Smólskiego, czy wierszach satyrycznych Włodzimierza Słobodnika.

**Wojciech Żukrowski, „Wiersze” Arkusz Śląski, wyd. Z. Z. L. P. Katowice, 1948, str. 16.**

Sięgając po wiersze sławnego prozaika skazujemy je niejako z góry na drugoplanowość, nie zadowolenie się rolą zjawiska wtórnego. Czujemy instynktownie, że żywiołem Żukrowskiego jest jego bogata, pełna artystycznego wyrazu proza. Przeczucia nas nie mylą. Właściwy pierwszemu okresowi twórczości Żukrowskiego patos, którego wyraz znajdujemy w tomie nowel „Z kraju milczenia”, w wierszach które chyba towarzyszyły powstawaniu owych nowel przyzera się w sztuczność, emfazę i sztynną trochę koturnowość, to wąskie ramy wiersza nie pozwalają na tonowanie półcieniów, harmonizowanie nastrojów czy psychologiczne interpretowanie zjawisk ale mimo tych przejaśkrawień patetyczności wiersze Żukrowskiego stanowią ciekawy dokument literacki ze względu na wielką zgodność treści wielu wierszy z atmosferą uczuciową przedmowy z „Z kraju milczenia” i pierwszych nowel tego tomu. Poza tym uderza w poezji Żukrowskiego jak i w prozie bogactwo obrazów, wielka plastyczność opisów, sugestywne operowanie barwą i cieniem. Nienaganna forma, łatwość przeczucia się z jednego metrum w drugie, zwycię-

ska walka z niewolą rymu, a nawet pewna perfidia asonansów wskazują nam jeszcze raz na Żukrowskiego jako na niezwykłego, wiele zapowiadającego mistrza słowa.

**Wilhelm Szewczyk, „Wiersze”, Arkusz Śląski, Z. Z. L. P., r. 1948, Katowice, str. 16.**

W wierszach Szewczyka wyraznym nurtem płyną refleksje społeczne. Stykamy się tu nie z banalną próbą realizowania doraźnych zamówień społecznych, nie odczuwamy łatwych i powierzchownych wypadków w ogólnikowe biadolenia i ojra-patriotyczne hasła. Problematyka społeczna jest dla Szewczyka tylko konkretyzacja pewnych zagadnień ludzkich. Taki do niej stosunek budzi zaufanie. I gdy Szewczyk powie:

„Brodaty wiew nad miastem, w barkach rośnie Legnica  
Na sztandarach wciąż płyną polscy socjaliści”

to nie znajdujemy w tym emfazy transparentowej, lecz wazkie stwierdzenie faktów. Jak treść utworów tak i ich forma chociaż z pewnymi zastrzeżeniami jest dokumentem rzetelnego przeżycia i gruntownej pracy. Patetyczny, rozlewny tok składni połączony z ogólnie dawkowymi prowincjonalizmami i umiejętnie stosowaną archaizacją tworzy język nacechowany piętnem indywidualizmu i poetyckości.

**Zyg. Lich.**

## Czytajcie

## „SŁOWO POWSZECHNE“